

WYDZIAŁ UMCS WARSZAWA

Jak chrześcijanin z marksistą - kardynał König z profesorem Schaffem (str. 2-3); Hallerczycy z Ameryki (str. 4-5); Koniec Trockiego (str. 4-5,14); Leśny szpital AK (str. 8-9); Piekarski na mękach i jajecznic na Ravailaku (str. 12)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

PL ISSN 0137-7108 Nr 14d. 962514

NR 14 (912)

10 lipca 1988

Cena 35 zł

A OTO KSIĘGA O BIAŁYCH PIAMACH W HISTORII!



NILCZKIEWICZ

Rys. Tomasz Wilczkiewicz

UDAŁEM się wczoraj z mel-dunkiem do wojenkoma, który zatrzymał się na kwatery w domu księdza. Książ ten uciekł. W kuchni na moje spotkanie wyszła pani Eliza, gospodyni jezuita. Poczęstowała mnie bursztynową herbacianką z biskoptami. Jej biskopty miały zapach ukrzyżowania. Nasycone były sokiem podstępny i aromatyczną wściekłością Watykanu.

Obok domu, w kościele, ryczały dzwony, rozhuśtane przez oszalałego dzwonnika. Był wieczór pełen lipco-

chcieli pić wódkę. Tego wieczoru cień mnicha skradł się za mną krok w krok. Pan Romuald został biskupem, gdyby nie był szpiegiem.

Pilem z nim rum, technicznie niezwykle systemu migotało pod ruinami domu księdza, i przymilne umizgi Romualda obezwładniały mnie. O, krucyfiksy maluteńkie jak talizmany kokotki, pergaminie papieskich bull i atlasie kobiecych listów, zbutwiałych w granatowym jedwabiu kamizelek!...

Widzę cię odtąd, niewierny mnichu, w sutannie koloru lila, widzę pulch-

Naczelnikowi Państwa, Józefowi Piłsudskiemu.

Zebrawsze hordy łoczą się na twoje starożytne miasta, o Polsko, pieśń o zjednoczeniu wszystkich niewolników brzmi nad nimi. Gorze ci, książę Radziwille i tobie, książę Sapieho, którzy stanęliście na straży!...

Ciągle nie ma mego wojenkoma. Szukam go w sztabie, w ogrodzie, w kościele. Brama kościelna otwarta, wchodzę, na spotkanie dwie srebrne

szone drogimi kamieniami, śledzą naszą drogę różowymi jak u myszy źrenicami, płomień miota się w naszych palcach i kwadratowe cienie kurczą się na posągach świętego Piotra, świętego Franciszka, świętego Wincentego, na ich rumianych policzkach i kędzierzawych bródkach, wymalowanych karmie-

Krążymy i szukamy. Pod naszymi palcami podskakują kościane guziki, rozsuwają się rozcięte na wpół ikony, ukazując podziemia kwitnących pleśnią pieczar. Świątynia ta jest starożytna i pełna tajemnic. Ukrywa w swoich połyskliwych ścianach tajemne przejścia, nisze i drzwiczki otwierające się bez szmeru.

O głupi księżu, który rozwiesiłeś na gwoździach Zbawiciela staniki swoich parafianek! Za carskimi wrotami znaleźliśmy walizkę ze złotymi monetami, safianowy worek z banknotami i futerały paryskich jubilerów ze szmaragdowymi pierścieniami.

A potem liczyliśmy pieniądze w pokoju wojenkoma. Słupy ze złota, dywany z piędzdy, porywisty wiatr, dmący na płomień świec, wronie szaleństwo w oczach pani Elzy, grzmiący śmiech Romualda i nie kończący się ryk dzwonów poruszanych przez pana Robackiego, oszalałego dzwonnika.

— Precz — powiedziałem sobie — precz od tych puszcujących oczka madonn, oszukanych przez żołnierzy...

Tłumaczyła
Wiktoria Jaroszeńska

Opowiadanie to — będące (od pierwszej zbiorowej edycji „Armii Konnej” w Związku Radzieckim) integralną częścią cyklu — nie zostało uwzględnione w żadnym z polskich wydań książkowych Babela. Pierwodruk rosyjski z 18.02.1923 r.

Kościół w Nowogrodzie

Izaak Babel

wych gwiazd. Pani Eliza, gorliwie porządkująca siwizną, dosypała mi ciastek, a ja delectowałem się tym pokarmem jezuitów.

Stara Polka nazywała mnie „panem”, na progu stali na baczność niepozorni staruszkowie ze skostniałymi uszami i gdzieś w zmijowym zmroku wila się sutanna mnicha. „Pater” uciekł, lecz zostawił pomocnika — pana Romualda.

Kastrat z ciałem tytana, mówiący przez nos, Romuald tytułował nas „towarzyszami”. Żółtym palcem wodził po mapie, wskazując zasięg polskiej kłęski. Porwany ochrypłym zachwytem, lizał rany swojej ojczyzny. Niech łagodnie zapomnienie pochłonie pamięć o Romualdzie, rozstrzelanym mimochodem, gdyż zdradził nas bezlitośnie. Lecz w ten wieczór jego wąska sutanna poruszała się przy wszystkich portierach, wściekle zmiatała wszystkie chodniki i uśmiechała się do wszystkich, którzy

ność twych rąk, twoją duszę subtelną i bezlitosną jak dusza kota, i widzę rany twego boga broczące nasieniem, wonnym jadem, upajającym dziewice.

Piliśmy rum w oczekiwaniu na wojenkoma, lecz on ciągle nie wracał ze sztabu. Romuald upadł w kącie i zasnął. On śpi i drży, a za oknem, w ogrodzie, pod czarną namiętnością nieba przelewa się aleja. Róże, spragnione, kołyszą się w ciemności. Zielone błyskawice płoną w kopułach. Nagi trup wala się pod skarpą. I blask księżycowy spływa po martwych nogach, sterczących osobno.

Oto Polska, oto harda skarga Rzezczypospolitej! Ja, przybysz narzucony przemocą, rozkladam wszawy materac w świątyni porzuconej przez kapłana, podkładam pod głowę folię, w których wydrukowano Hosannę jaśnie wielmożnemu i jaśnie oświeconemu

czaszki zapalają się na wieku trumny. W przerażeniu rzucam się w dół, do podziemi. Dębowe schody prowadzą stąd do ołtarza. I widzę mnóstwo ogni biegnących na wysokości pod samą kopułą. Widzę wojenkoma, naczelnika wydziału specjalnego i kozaków ze świecami w rękach. Odzywają się na słaby mój krzyk i wyprowadzają mnie z podziemi.

Czaszki, które okazały się rzeźbą kościelnego katafalku, nie straszą mnie więcej i wszyscy razem w dalszym ciągu przeprowadzamy rewizję, gdyż to była rewizja, zaczęta po tym, jak w mieszkaniu księdza znaleziono stopy wojskowych mundurów.

Blyszcząc wyszytymi na wylogach końskimi pyskami, szepejąc do siebie i dzwoniąc ostrogami, krążymy po dźwięczącym budynku z kapiącym wojskiem w rękach. Matki Boskie, obwie-

Zrozumieć meandry polskiego życia...

Rozmowa z Patricią Koza, korespondentką UPI w Warszawie

— Czy dziennikarstwo to dobry zawód dla kobiety? Które z elementów rzeczywistości „wyczuwają” kobiety lepiej od mężczyzn?

— Dziennikarstwo to wspaniały zawód. Czasami odczuwam nawet niepokój, że otrzymuję wynagrodzenie za robienie czegoś, co sprawia mi tak ogromną satysfakcję. Prawdę mówiąc, chętnie sama bym dopłacała, byle tylko móc robić to, co robię. Czy istnieje jakaś inna profesja, która daje

szanse tak łatwego dostępu do najwyższych warstw społeczeństwa, która pozwala na zadawanie pytań i oczekiwanie odpowiedzi od najwybitniejszych osobistości świata? To idealny zawód dla wszystkich naprawdę ciekawych życia.

Co do dziennikarstwa kobiecego uważam, że jest ono chyba bardziej refleksyjne. Nie chcę tu powiedzieć, że kobiety-dziennikarki są mniej agresywne w zadawaniu pytań, czy też chętniej godzą

się na kompromis. Po prostu nie muszą reporter-sko uczestniczyć w fizycznej walce, relacjonować konfliktów zbrojnych, aby zaspokoić swoje fascynacje. Sądzę także, iż wyczuwają one lepiej od mężczyzn sprawy rozbrojenia. Z natury czy też powołania kobiety są pozbawione instynktu walki; tego zauroczenia fizyczną konfrontacją. Instynktów posiadają jednak nasi mężowie i synowie.

Dokończenie na str. 10—11

Agencje zachodnie o XIX Krajowej Konferencji KPZR

REUTER o radzieckiej demokracji i systemie prezydenckim

Korespondentka REUTERA pisze, że M. Gorbaczow wezwał w swym referacie do wprowadzenia w ZSRR pełnokrwistej demokracji, bez żadnych zastrzeżeń. Stwierdził on, że istniejący system polityczny nie zdołał uchronić narodu radzieckiego przed nadużyciami ze strony Stalina i Breżniewa, i że tylko radykalne reformy konstytucyjne mogą zapewnić sukces przebudowy.

Główną propozycją Gorbaczowa w dziedzinie reform politycznych była sugestia wyboru przez nowy organ ustawodawczy, wyłoniony w tajnym głosowaniu spośród szeregu kandydatów, prezydenta państwa (przewodniczącego Rady Najwyższej), który rządziłby krajem, podczas gdy KPZR wytyczałaby ogólne cele polityczne.

AFP o bezprecedensowej krytyce ery Breżniewa

Korespondent AFP pisze, że w swym referacie Gorbaczow wystąpił z bezprecedensową krytyką ery Breżniewa, określając ją jako „okres stagnacji”, odpowiedzialny za wszelkie zło w dziedzinie gospodarczej i społecznej, które dotąd gnębi ZSRR.

Nie wymieniając z nazwiska byłego sekretarza generalnego KC KPZR, Gorbaczow stwierdził, że ówczesne metody rządzenia uczyniły głębokie szkody w różnych dziedzinach życia. Podał on także surową krytykę politykę zagraniczną (którą w okresie Breżniewa prowadził m.in. spraw zagr. Gromyko), stwierdzając, że nawet najważniejsze decyzje podejmowane były w bardzo wąskim kręgu, bez kolegiального rozpatrzenia.

Gorbaczow złożył odpowiedzialność na erę Breżniewa za narzucanie starych stereotypów w kwestiach ekonomicznych, za opór wobec wszelkich zmian i za tendencje do utrzymania w gospodarce metod komenderowania i metod administracyjnych.

Również w dziedzinie naukowej istniało wiele hamulców, stworzonych przez tego rodzaju metody i w konsekwencji doszło do odstawiania nauki radzieckiej w wielu ważnych dziedzinach. W związku z tym Gorbaczow zaapelował o głęboką restrukturyzację w dziedzinie naukowej.

AP o głównych punktach referatu Gorbaczowa

Korespondent AP wymienia — jak to określa — osiem głównych punktów zawartych w referacie Gorbaczowa:

1) **Prezydentura.** Gorbaczow zaproponował, aby nowy organ rządowy wybierał wyposażonego w większą władzę szefa państwa, który byłby odpowiedzialny za kierowanie pracami ustawodawczymi oraz za realizację głównych programów rządowych w dziedzinie zagranicznej i na polu obrony narodowej.

2) **Reforma ustawodawcza.** Należy utworzyć złożony z 2250 deputowanych Zjazd Deputowanych Ludowych, który corocznie dokonywałby oceny problemów społecznych, gospodarczych i konstytucjonalnych. Jedną trzecią deputowanych wybrana byłaby z szeregu związków zawodowych i innych organizacji społecznych. Spośród swych członków Zjazd wybrałby ograniczoną w zasięgu Radę Najwyższą, złożoną z 400—450 deputowanych, która byłaby stałym organem ustawodawczym.

3) **Władze lokalne.** Lokalni przywódcy partyjni powinni stać się również szefami lokalnych rad terenowych,

co umocniłoby autorytet rad lokalnych i zwiększyło ich odpowiedzialność.

4) **Polityka rolno.** Reforma ustalaniego przez państwo umożliwiająca rolnikom dzierżawienie ziemi od dużych gospodarstw kolchozowych i państwowych, co byłoby najszybszą drogą zwiększenia produkcji żywności i położenia kresu chronicznym brakom żywności.

5) **Reforma cen.** Reforma ustalanego przez państwo systemu cen jest absolutnie konieczna, ale głębokie studia nad tą sprawą trwają nadal i rząd wykorzysta wszelkie ograniczenia subsydiów żywnościowych na rekompensaty dla konsumentów za ewentualne podwyżki cen.

6) **Prawa obywatelskie.** Obywatelom radzieckim należy zagwarantować prawa do nienaruszalności sfery osobistej. System sądownictwa musi być zreformowany, by zapewnić wszystkim równość w obliczu prawa oraz zagwarantować, iż w stosunku do każdego podejrzanego, odpowiadającego przed sądem, obowiązywać będzie domniemanie niewinności.

7) **Granice liberalizacji.** KPZR nie będzie tolerować żadnej opozycji politycznej. Ci, którzy usiłują stworzyć zorganizowaną opozycję, nadużywają zainicjowanego przez Gorbaczowa procesu liberalizacji.

8) **Polityka narodowościowa.** 15 republik radzieckich powinno uzyskać szersze prawa w dziedzinie gospodarczej, ale kierownictwo partyjne nie będzie tolerowało prób zmiany granic istniejących pomiędzy republikami.

UPI o konferencji prasowej Jakowlewa

Relacjonując konferencję prasową Aleksandra Jakowlewa, korespondent UPI pisze, iż ten bliski doradca Gorbaczowa przepowiedział, że historia nazwie obecną konferencję partyjną „konferencją demokratyzacji społeczeństwa radzieckiego”.

W odpowiedzi na jedno z pytań, Jakowlew oświadczył, że „nomenklatura” przestanie istnieć w tym sensie, w jakim oznacza ona listę członków partii, mogących objąć dostępne stanowiska, ale partia będzie nadal szkolić i przygotowywać swe kadry.

Podkreślił on z naciskiem, że podstawowym celem konferencji jest uczynienie z ZSRR państwa opartego na porządku prawnym, zapewniającego wszystkim bez wyjątku pełną równość w obliczu prawa. „Nigdy więcej — powiedział — nie powinno być możliwe, by kogoś prześladowano i doprowadzono do tego, by jego nazwisko nie mogło być wymieniane”.

Jakowlew potwierdził, że wśród delegatów na konferencję są też konserwatyści, ale wskazał, że nawet najbardziej konserwatywni delegaci nie sprzeciwiają się przebudowie, różnią się jedynie w kwestiach tempa i metod zmiany struktury społeczeństwa radzieckiego.

Wszystkie agencje zachodnie

z dużym zainteresowaniem odnotowują wypowiedź Leonida Abalkina, dyrektora Instytutu Gospodarki ZSRR, którego agencje określają jako czołowego ekonomistę i kluczowego doradcę Gorbaczowa. Podkreślają one, że Abalkin skrytykował propozycję piastowania przez jedną osobę funkcji pierwszego sekretarza partyjnego i przewodniczącego miejscowej rady, jako sprzeczną z zasadą rozdziału funkcji partyjnych i państwowych.

Wysuwając argumenty podobne do tych, jakie wysuwają ekonomiści zachodni, wskazał on, że ZSRR nie może udoskonalić jakości swej produkcji, dopóki mierzyć będzie postęp gospodarczy metodami ilościowymi.

O państwowym ateizmie i religii rozmawiali (DIE ZEIT z 3.06.br.) kardynał Franz König (były kierownik watykańskiego Sekretariatu ds. Niewierzących) i polski filozof, profesor Adam Schaff. DIE ZEIT reprezentował Hansjakob Stehle. Tekst publikujemy w skrócie. Tytuł pochodzi od naszej redakcji.

König: Zawsze istnieli ateści, którzy wypierali się Boga, i agnostycy, dla których problem jego istnienia był obojętny. Ale nowością w historii jest to, że państwo niejako wprowadza ateizm do konstytucji. Zastanawiam się, profesorze Schaff czy marksistowskie pojęcie religii, odnoszące się głównie do chrześcijaństwa, nadal traktuje je jako społecznie szkodliwe?

Schaff: Wynikało to z opinii Marksa, którą podzielał Engels i „młodoheglisci”, że religia to „opium dla ludu”. Opinii nie tyle filozoficznej, ile politycznej, będącej konsekwencją tego, czym była wówczas religia — zwłaszcza Kościół — w polityce i społeczeństwie. Chciałbym tu stwierdzić, że teza, iż religia jest przeszkodą dla rozwoju społeczeństwa, stała się dziś bezsensowną [...] Można dostrzec, np. w islamie, jak religia potrafi mobilizować politycznie...

König: Przykład akurat niezbyt budujący...

Schaff: Powinniśmy być ostrożni w negatywnej ocenie rewolucyjnego fanatyzmu, gdyż mieliśmy także w średniowieczu wyprawy krzyżowców, a nawet krucjaty dzieci. Islam znajduje się właśnie jeszcze tam, w średniowieczu. Mimo wszystko widzi się przy tym, że religia może być społecznie radykalna i postępową. Można to także zauważyć w wypowiedziach naszego papieża. Podziwiam jego encykliki o treści społecznej, jak np. ostatnią, noszącą tytuł „Społeczna troska Kościoła”; w pełni zgadzam się z jego twierdzeniem, że w krajach uprzemysłowionych wysycha coraz więcej źródeł pracy. To jest dokładnie to, na co wciąż wskazywałem, ku zgrozie niektórych moich towarzyszy: obumieranie klasy robotniczej. Dziś znajduje się to w encyklikach, ale w komunistycznych programach partyjnych nie ma o tym ani słowa.

König: A jak jest z prorokowanym przez marksizm zamieraniem religii?

Schaff: Nasze pojęcie religii uległo zmianie. Dlatego też błędem byłoby u-

Pod takim tytułem ukazał się w US NEWS AND WORLD REPORT (30.05.br.) esej pióra Artioma Borowika z radzieckiego tygodnika OGONIOK, który przebywał przez pewien czas jako jego korespondent w Afganistanie.

ZOLNIERZ amerykański zwyczaj był tłumaczyć swą obecność w Wietnamie następująco: „Jestem tutaj, aby powstrzymać ekspansję komunizmu”. Zolnierze radzieckiej tak oto tłumaczyli swoją obecność w Afganistanie: „Gdyby nie było tu naszych wojsk, byłyby wojska amerykańskie. Moim obowiązkiem jest powstrzymanie wspieranej przez Amerykę kontrrewolucji. Jest nim pomaganie rewolucji w celu zatrzymania amerykańskiego imperializmu na południowej granicy mej ojczyzny”. Ameryka oskarża dziś Związek Radziecki o ekspansjonizm i prowadzenie brudnej wojny, zapominając, że jeszcze 20 lat temu musiała wysłuchiwać takich samych oskarżeń z naszej strony.

W 1986 roku, zanim udałem się po raz pierwszy samolotem „Aeroflotu” do Kabulu, nazywałem się księżką o Afganistanie. Wiedziałem lepiej niż sami Afgańczycy, czego im potrzeba. W głowie kłębiły mi się myśli o sposobach budowy socjalizmu w Afganistanie. Tak się zagłębiłem w Koran, że znam na pamięć kilka krótkich, modlitewnych tekstów. Wszystkim służyłem radami i oskarżałem radzieckich i afgańskich decydentów politycznych o pa-

KRONIKA KULTURALNA

■ Największym, proporcjonalnie do liczby oferowanych miejsc, zainteresowaniem zdających egzaminy wstępne do naszych obu uniwersytetów: UMCS i KUL, cieszyły się kierunki pedagogiczne, co nawet zaskakujące. Natomiast w Politechnice Lubelskiej wyraźnie osłabła atrakcyjność górnictwa, co z kolei zrozumiałe wobec sytuacji w jakiej znalazło się wschodnie zagłębie (?) węglowe.

■ W Muzeum Okręgowym Białej Podlaskiej czynna jest wystawa „Piechota polska 1914-1939”, obrazująca dzieje tej formacji od wymarszu I kadrowej kompanii Legionów do bitwy pod Kockiem. Dokumenty pisane, fotografie, sztandary, mundury, karabiny i pistolety (m.in. słynny Vis) — oto, co można i warto zobaczyć na wystawie, która czynna będzie do połowy września. W dniu otwarcia ekspozycji (27 VI) odbyła się stosowna sesja naukowa.

■ Wojewódzki Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w

Chełmie proponuje wzniesienie w tym mieście pomnika 70-lecia odzyskania niepodległości — na fundamencie obelisku z międzywojnia, który, upamiętniając inne wydarzenie (1920), został usunięty w latach pięćdziesiątych.

■ Kilkadziesiąt fragmentów wczesnorenesansowych, pięknie zdobionych kafli piecowych wyrzuciło spod podłogi remontowanej kamienicy zażytkowej Rynek 6 na lubelskim Starym Mieście. Mówi się, że jest to kolejny dowód zamożności dawnego Lublina.

■ Trwają zajęcia dydaktyczne i imprezy krajoznawcze (zwiedzanie Lublina, Puław, Kazimierza, Nałęczowa i innych miast Polski) w Szkole Letniej Kultury i Języka Polskiego UMCS, skupiającej słuchaczy z RFN, Berlina Zachodniego, Austrii, Finlandii, Irlandii i Szwajcarii.

■ W rozległej i urozmaiconej przestrzeni siedzibie lubelskiego SARP-u przy ul. Grodzkiej 3 (kamienica po renowacji) czynna była od 21 czerwca do 5 lipca wystawa fotografii „Cerkwie u podnóża Zachodnich Bieszczadów”.

■ Minęła 15 rocznica powstania Lubelskiego Klubu Kolekcjonerów, organizatora popularnych „targów staroci”, które oczywiście nie wyczerpują programu działania LKK. Porozmawiano na okolicznościowej sesji (25—26 VI), otwarto wystawę pocztówki

lubelskiej sprzed lat oraz medali, z konieczności eksponując owe dobra w mocno sfatygowanych gablotach i stelażach, wypożyczonych od filatelistów. Oczywiście, urządzono też kolejne targi (86), w których uczestniczyli m.in. kolekcjonerzy z Brześcia nad Bugiem.

■ UMCS wydał właśnie 50-tysięczny dyplom ukończenia uczelni. Otrzymała go absolwentka studiów chemicznych (wysoka, 24 lata).

■ Przy dźwiękach orkiestry i ze iza w oku żegnali kolejarze ostatni parowóz, jaki pojawił się (30 VI, godz. 10,38) na dworcu lubelskim, by po uroczystości odjechać na miejsce ostatniego spoczynku. Maszynę Pt 47—13 prowadził Waldemar Zieliński. Jeden z parowozów tej serii pozostanie przecież w Lublinie — w charakterze pomnika techniki.

■ W Muzeum Lubelskim czynna jest poplenerowa wystawa „Metafora '88. Czas i środowisko”. Ładny tytuł.

● Zmarł Narcyz Łubnicki (1904—1988), emerytowany profesor UMCS, współorganizator i doktor honoris causa tej uczelni, filozof, wychowawca kilku pokoleń pracowników nauki i studentów. Pochowany został na lubelskim cmentarzu przy ul. Lipowej.

ważanie siebie — jak czynią to niektórzy znajomi mi ludzie — za osobistego wroga Pana Boga.

König: Czy rozumienie religii przez takich marksistów jest tylko nieporozumieniem? Przecież oni odrzucają cały ludzki wymiar religii. Wprawdzie w marksizmie także chodzi o człowieka, stawia on go nawet w samym centrum, jednakże jego obraz jest dla marksistów jednowymiarowy — to istota materialna, również w swych procesach duchowych. Ale w rzeczywistości człowiek istnieje w dwóch wymiarach. Żyjąc na tym świecie, pragnienia swe kieruje poza ten świat, gdy zapytuje: skąd przybywam, jaki sens ma to życie?

Schaff: Nigdy nie myślałem, że wiara religijna jest nieporozumieniem. Wynika ona z pewnego nastawienia człowieka. Jeden je ma, inny nie i nie

König: Przed laty, jako przewodniczący watykańskiego Sekretariatu ds. Niewierzących, zapytywałem wielu czołowych polityków komunistycznych, czy i jak religia może koegzystować z ich systemem politycznym. W Jugosławii odpowiedział mi na to Edward Kardelj, autorytatywny ideolog Tity: „Jak długo religia nie będzie nadużywana dla celów opozycji politycznej — nie ma żadnych przeszkód”. Byłem ciekaw, czy na przykład nauczyciel filozofii w szkole państwowej, gdy wyjaśni już marksistowski obraz ludzi i świata, może także informować o poglądach chrześcijańskich lub agnostycznych? Wówczas Kardelj powiedział: „W takim przypadku byłoby lepiej, gdyby uczył on matematyki...”.

Schaff: W Polsce jest odwrotnie. Tu się już prawie nie mówi o marksizmie. [...]

König: Władze Kościoła podejrzewają, że takie zbliżenia są tylko manewrem taktycznym w celu zdobycia katolików i wejścia w świat katolicki. Dodaje, że to kościelne podejście nie zawsze i niekoniecznie jest uzasadnione. [...] Pozostaje pytanie, z jakich zasadniczych pozycji wychodzi jedna i druga strona. Papież Jan XXIII powiedział na to, że zasadnicze pozycje ustalone na piśmie są wprawdzie niezmiennie, ale ludzie zmieniają się. Przepuszczalnie dlatego nie zawsze punktem wyjścia jest wyłącznie to, co zostało napisane.

ZEIT: Wszystkie instytucje stworzone przez ludzi podlegają zmianom historycznym, także Kościoły. Nie pali się już dziś stosów...

Schaff: Nawyki myślowe nie zmieniają się tak szybko jak realia. Jednak rzeczywistość zmusza nas do brania na

König: My w Europie inaczej oceniamy, widzimy tę teologię wyzwolenia, niż przedstawia się ona na miejscu. Tam jest ona nie tyle dyskusją teoretyczną, ile dążeniem do powiązania religii z bazą, z narodem, w sensie chrześcijaństwa pierwotnego. Niektórzy przeceniają zagrożenie, uważając, że religia zastąpiona zostanie przez marksistowski socjalizm. Bądź co bądź sam papież nie potępił całkowicie teologii wyzwolenia w jej pierwotnej formie.

ZEIT: Przykład latynoamerykański wskazuje także, jak wiele prawdy zawiera inna marksistowska definicja o religii jako „westchnieniu uciskanych istot”. Nędza uczy modlitwy. Czyż nie można tego odwrócić: bez ucisku, bez nędzy materialnej i przymusu politycznego religia będzie mniej uzasadniona?

Jak chrześcijanin z marksistą

ma to nie wspólne z wykształceniem, jak uważano w epoce Odrodzenia. W rezultacie socjologicznych badań w Warszawie okazało się, że wśród przyrodników jest nie mniej wierzących niż wśród humanistów. Na mnie robi wrażenie teza teologiczna o potrzebie wiary w „gratia Dei” — łaskę boską. Ponieważ brakuje mi tej potrzeby, nie mogę tego pojąć, lecz rozumiem, że wykształcony, inteligentny człowiek może być wierzący. Z drugiej strony, nie potrafię też udowodnić, że wiara jest błędem, i dlatego rozumiem, że wielu wierzących nie jest w stanie pojąć, jak można być niewierzącym.

ZEIT: Zatem dla ateizmu o charakterze marksistowskim pozostaje tylko motywacja polityczna, o której mówił kardynał i którą pan uważa za przestarzałą. Czy więc ateizm da się odzielić od marksizmu?

Schaff: W sensie politycznym — z pewnością, lecz jako system myślowy marksizm pozostaje nieodłącznie związany z filozofią, a więc także z ateizmem. Marks był najpierw filozofem [...]

ZEIT: Polska nie jest typowym przykładem. Nie przypadkiem pan stamtąd pochodzi. Polska zawsze była dowodem na to, że ateizm nie nadaje się na element ideologii państwowej. Powstaje tylko pytanie, dlaczego nawet tam jest on niekiedy administracyjnie wspierany?

Schaff: Istnieją partie komunistyczne, które nie są partiami rządzącymi, na przykład włoska. Ona od dawna już przyjmuje, że wiara katolicka i aktywność polityczna dadzą się w jej szeregach pogodzić...

ZEIT: „Co jednak nie podoba się Kościołowi i polskiemu papieżowi. Czy rzeczywiście można to pogodzić?”

König: Jest to trudne, ponieważ gdy usiłuje się połączyć to, co jest nie do pogodzenia, powstają nieporozumienia.

Schaff: W tym punkcie, mimo mego uznania dla jego encyklik, nie zgadzam się z papieżem. Część Kościoła ma w tej sprawie ten sam pogląd co część ruchu komunistycznego...

siebie odpowiedzialności, do zrobienia czegoś dla nieszczęśliwych ludzi tego świata.

ZEIT: W praktyce politycznej wciąż się do tego dąży, chociażby ze zwykłego oportunizmu. Nawet Stalin nie gardził pomocą Kościoła ortodoksyjnego, gdy Związek Radziecki został napadnięty przez Niemcy hitlerowskie.

Schaff: Dziś sięga to dużo głębiej. [...]

Pod koniec rozmowa zeszła na temat teologii wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej.

Schaff: Dla stosunku marksizmu i religii ważniejsze od ewolucji w ZSRR jest dziś to, co dzieje się w Ameryce Łacińskiej, gdzie katolicy, którzy określają się jako marksiści, rozwinięli teologię wyzwolenia. Uważają oni, że z marksizmu można przejąć doktrynę polityczno-społeczną bez materialistycznej filozofii.

König: Spytałem kiedyś papieża, gdzie widzi on przyszłość Kościoła, a on odpowiedział na to: z pewnością nie w Europie Zachodniej, raczej w Afryce, Ameryce Południowej, w Indiach, Azji, gdyż Europa Zachodnia jest zmęczona i dusi się w dobrobycie.

Schaff: W kształtującej się na naszych oczach epoce ludzi myślących będziemy potrzebowali bardziej niż kiedykolwiek humanitarnej doktryny wartości. Także i technika piątej generacji komputerowej nie jest sama w sobie nieludzka, chodzi tylko o to, co człowiek z niej uczyni. Sądzę, że musi istnieć większa łączność pomiędzy tymi, którzy kładą główny nacisk na osiągnięcia materialno-ekonomiczne, i tymi, którzy swą doktrynę wartości czerpią z religii. Muszą się więc zmienić nie tylko kraje komunistyczne, lecz także Kościoły. [...] Bez udziału wszystkich ludzi, którzy znajdują sens swego życia w duchowym wymiarze, ciężko będzie pokonać kryzys naszego świata. Marksisci muszą to zrozumieć, szukać wspólnoty z wierzącymi, nawet gdyby wiara była im obca.

Afganistan

taczenie rewolucji. Pewnego dnia jeden z nich chwycił mnie za ramię i powiedział ostro: „Słuchaj, młodzieńcze, zapomnij wszystko, co czytałeś w Moskwie o tym kraju i tej wojnie. Spędź jedną noc z żołnierzami na bojowej zasadzce i niechaj gwizd kul oczyści ci umysł!”.

stan to iluzja. Zapytałem Afgańczyka: „Kim jesteś?”, a odpowiedź: „Jestem Puszem” albo „Jestem Uzbekiem”. Nigdy nie powie: „Jestem Afgańczykiem”. Spotkałem mullah, który był absolutnie przekonany, że jego ziomkowie walczą z Brytyjczykami. Wyobrażałem sobie mudżahedinów jako bezlitosnych fanatyków-bojowników o słuszną sprawę islamu. Ale za każdym razem, gdy byłem świadkiem przesłuchania jakiegoś wziętego do niewoli rebelianta, wi-

ład naszych wojsk. (Moskwa odstąpiła od tej zasady, podając oficjalnie, że straty w Afganistanie ocenia się na 12—15 tysięcy poległych żołnierzy radzieckich — przyp. US NEWS AND WORLD REPORT).

Gdyby przeprowadzono ankietę na temat roli naszej prasy w wojnie w Afganistanie, nie sądziłbym, aby otrzymała ona zbyt wysoką ocenę. Nie chcę jednak obwiniać samych dziennikarzy za nieprawdy rozsiewane do połowy lat

cofać nasze wojska”. Pięć procent listów — głównie od weteranów II wojny światowej — zawierało żądanie kontynuowania wojny „do zwycięskiego końca”. Autorzy tych listów uważali politykę narodowego pojednania (w Afganistanie) za błąd. Ich logika jest prosta: jak można pojednać się z wrogiem? Niektórzy zarzucali mi, że pisząc o okrucieństwach wojny w Afganistanie, nie pomyślałem o matkach służących tam żołnierzy, które będą czytać moje reportaże. Ja też zastanawiałem się nad tym, ale jednocześnie myślałem, jak niebezpieczny jest ten ludzki nawyk życia z zamkniętymi oczami. Inne pytanie, jakie często slyszalem, dotyczyło tego, czy moje reportaże z Afganistanu były ostro cenzurowane. Nie. I muszę dodać: głównym cenzorem, jaki stał na drodze radzieckiego dziennikarza w czasach wprowadzonej przez Michaiła Gorbaczowa głośności, nie jest urzędnik z Głównego, lecz cenzor, który tkwi we własnym umyśle dziennikarza.

Kiedy kończyłem ten artykuł, nasunęła mi się myśl: dlaczego nie stworzyć biurowo międzynarodowego muzeum wojennego reportażu? Byłby to nie tylko ośrodek spotkań dla reporterów wojennych z różnych krajów, ale również pomnik dla naszych braci po piórze, którzy oddali życie na polach bitewnych. Wszyscy oni — żywi i umarli — powinni być wpisani do „bitewnej księgi pokoju” naszych czasów. A nad wejściem do muzeum należałoby wypisać słowa amerykańskiego reportera Michaela Herra: „Pojechałem, by donosić o wojnie i wojna poniosła mnie”.

Czym była ta wojna?

Na podstawie tego, co czytałem w radzieckiej prasie, spodziewałem się zobaczyć w Afganistanie zreżyżowaną socjalistyczną gospodarkę. Przekonałem się, jednak, że socjalizm nie zapuścił tam korzeni. Nie to, że socjalizm zawiódł. Po prostu Afganistan jest społeczeństwem feudalnym z pozostałościami formacji plemiennych. Historii nie da się pokonać siedmiomilowymi skokami. Widziałem, jak chłopu oferowano ziemię, która należała uprzednio do feudalnego pana, i uważałem to za bardzo słuszną, postępowe działanie. Byłem bezgranicznie zafascynowany, kiedy usłyszałem, że chłop odmawia jej przyjęcia. Wierzył, że cała ziemia należy do Allaha i wobec tego nie może stać się jego własnością — własnością prostego chłopca. Wg muzułmańskiego kalendarza, w Afganistanie jest rok 1367 i kalendarz ten nie kłamie. Czasem wydawało mi się, że Afgani-

działem tylko małego, brodatego człowieka, trzęsącego się cały czas ze strachu. Myślałem: jakaż to dziwna wojna, w której do wroga nie odczuwa się nienawiści, a tylko litość. Teraz, nawet w naszej prasie, nie nazywamy mudżahedinów wrogami. Piszemy po prostu o „zbrojnej opozycji”. Co to za wojna, w której nie ma wroga?

Podczas mojej podróży po Stanach Zjednoczonych pytano mnie ciągle o liczbę naszych strat w tej wojnie. Nie mogłem dać żadnej konkretnej odpowiedzi; jeszcze do niedawna było to uważane za tajemnicę. U nas zawsze tak było, nawet podczas II wojny światowej. O tym, że zginęło około 20 milionów ludzi, dowiedzieliśmy się dopiero po jej zakończeniu. Być może dowiemy się o wysokości strat w Afganistanie dopiero po wycofaniu stam-

80. To były inne czasy; nie było wtedy głośności. Kiedy czyta się dziś ówczesne doniesienia z Afganistanu, odnosi się wrażenie, że nasi żołnierze zajmowali się uprawą róż, a całą walkę prowadziła armia afgańska. Afganistan był wtedy „tematem tabu”. Wielu ludzi zaczęło traktować medale i odznaczenia z tej wojny nie jako dowód uznania za ciężką, śmiertelnie niebezpieczną służbę, lecz jako ostentację fałszu. Było to obrażą dla tych, którzy otrzymali swe odznaczenia za czyny bojowe.

Pytano mnie często w Ameryce, jaki jest stosunek ludzi radzieckich do wydarzeń w Afganistanie. Mogę o tym sądzić tylko na podstawie listów, jakie nadchodziły do redakcji OGNIOKA po ukazaniu się w nim moich reportaży. Większość wyrażała następującą opinię: „Jest już najwyższy czas, aby zaprzestać tej wojny i wy-

Na drodze do Armii Polskiej

Tadeusz Radzik

NIEJEDNOKROTNIENIE 3-milionowe wychodźstwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki nazywano przed wybuchem I wojny światowej „czwartą dzielnicą” — charakteryzując w ten sposób największe skupisko Polaków w świecie, żyjących poza obrębem trzech zaborów. Na miano „czwartej dzielnicy” zasługiwała Polonia amerykańska także ze względu na swoją patriotyczną postawę. Ta kilkumilionowa, chłopska w swych korzeniach społeczność niejednokrotnie dopiero za oceanem, w zetknięciu z obcymi — mówiącymi innym językiem, o innych obyczajach i wyznaniu — kształtowała swą polską świadomość narodową, manifestując następnie polskość i przywiązanie do starej ojczyzny.

Już od końca ubiegłego wieku żywa była wśród wychodźstwa polskiego w USA idea tworzenia polskich formacji wojskowych, mających przygotować kadry dla przyszłej armii niepodległej Polski. Powoływano przy parafiach i organizacjach społecznych liczne towarzystwa, mające cel ten realizować. Te „husarie”, „gwardie” i „artylerie” pod wezwaniem świętych katolickich bądź patronatów królów polskich, ubrane w paradne i dość egzotyczne mundury i ćwiczące musztrę, stały się trwałym elementem wszelkich polskich świąt i obchodów. Chociaż w rzeczywistości przygotowania militarne nie dawały nawet w sensie teoretycznym, to stanowiły pewną namiastkę w zaspokajaniu patriotycznych pragnień Polonii. Z połączenia części tych towarzystw utworzono w 1903 r. Związek Wojsk Polskich, dzielący się na dwa korpusy (Jersey City i Chicago) i kompanie. W ramach Związku organizowano manewry, mające wprawdzie bardziej towarzyski i zabawowy charakter aniżeli szkoleniowy, nadawano stopnie wojskowe, a nawet uczono posługiwać się bronią.

Znacznie poważniejszy, paramilitarny charakter miały zamierzenia i działania Związku Sokółów Polskich w Ameryce — organizacji nawiązującej do idei skautingu. W tzw. „gniazdach” Związku prowadzono nie tylko wojskowe szkolenie teoretyczne i musztrę, ale organizowano manewry polowe w terenie z udziałem niejednokrotnie kilkuset Sokółów, uczono posługiwać się bronią. Aktywność

ta rosła wraz z dochodzącymi z kraju echem wydarzeń 1905 r., a wcześniej wojny rosyjsko-japońskiej oraz rachubami, jakie z nią wiązano, i była funkcją nastrojów wśród całej Polonii amerykańskiej.

Wybuch wojny światowej stworzył nową sytuację polityczną, radykalnie wpływając na ożywienie patriotyczne wychodźstwa. Zagadnienie bezpośredniego udziału Polaków z Ameryki w walce o niepodległość Polski stało się bardziej realne. Nie było pełnej zgody co do dróg i metod realizacji celu. Różne były orientacje polityczne. Aktywność propagandową wśród wychodźstwa polskiego przejawiali zwolennicy i emisariusze obu walczących stron.

Jako pierwsi wystąpili czynnie Sokoli. Wezwania płynęły z dwóch stron: od powołanego przez Polaków we Francji Komitetu Wolontariuszy — zabiegającego o utworzenie u boku Francji formacji ochotniczych złożonych z Polaków — oraz z Komitetu Obrony Narodowej — utworzonej w 1912 r. w USA ponadorganizacyjnej centrali wychodźstwa, popierającej ideę legionów polskich u boku Austro-Węgier. Na wiadomość o utworzeniu przez Piłsudskiego takiej formacji podjęto nawet próby organizacji niewielkich grup ochotników, mających przedostać się do kraju, celem wstąpienia do legionów. Witold Ryłski — naczelnik Związku Sokółów — zorganizował niewielką grupę, wraz z którą w sierpniu 1914 roku wyjechał do Europy, wstępując następnie do legionów Piłsudskiego.

Równocześnie jednak kilka niewielkich grup Sokółów wyjechało do Francji, znajdując na miejscu sytuację zupełnie nieprzygotowaną do tworzenia armii polskiej, tak pod względem politycznym, jak i organizacyjnym, a spotykając się z powodu posiadania obywatelstwa Austro-Węgier lub Niemiec (z tych zaborów się wywodzili) z nieufnością ze strony administracji brytyjskiej i francuskiej. Stąd też, po początkowej fali entuzjazmu, wśród organizacji polonijnych uwidoczniły się tendencje do zahamowania wszelkich żywiołowych wyjazdów, aż do wyjaśnienia się sytuacji politycznej i uzyskania organizacyjnych możliwości tworzenia polskich for-

macji wojskowych. Ryłskiego, za nieprzemyślaną i nieuzgodnioną z kierownictwem Związku Sokółów akcją rekrutacyjną, wykluczono z Sokolstwa, wstrzymując zarazem wszelkie wyjazdy do Francji.

Podobnie jak w kraju, tak i wśród Polonii następowala polaryzacja polityczna, orientowanie się na jedną z walczących stron. Usunięcie się Związku Sokółów Polskich z Komitetu Obrony Narodowej, a następnie przystąpienie w październiku 1914 r. do tworzącego się Polskiego Centralnego Komitetu Ratunkowego — pewnego rodzaju centrali ponadorganizacyjnej o zdecydowanie proalliańskim nastawieniu — było zarazem opowiedzeniem się politycznym.

PCKR podjął wówczas starania o uzyskanie od władz Wielkiej Brytanii i Kanady zgody na stworzenie militarnej formacji polskiej oraz pomocy w jej wyekwipowaniu. Te pierwsze zabiegi zakończyły się zupełnym niepowodzeniem. Zdecydowały o tym przesłanki polityczne, traktowanie sprawy polskiej jako wewnętrznego zagadnienia rosyjskiego sojusznika oraz obawa co do stanowiska, jakie w tej sprawie zajęłyby neutralne Stany Zjednoczone. W rezultacie postanowiono wstrzymać prace przygotowawcze do organizacji jednostek polskich i w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń „stać i czekać rozkazu”. Było to rozwiązanie doraźne, sprzeczne z nastrojami, jakie panowały wśród wychodźstwa, z czego także zdawano sobie sprawę.

„Stać i czekać wezwania — pisał „Sokół Polski” 3 września 1914 r. — ale hasłem tym już dalej utrzymać w karności naszych szeregów nie można, trzeba im wskazać, gdzie, kiedy i jak ruszyć będą mogli, trzeba ich porwać do czynnej ofiary. My ją widzimy w legionach dla Francji lub Anglii, ale jeżeli się mylimy i są jakieś inne drogi dostania się do swoich [...], to wskażcie kategorycznie, a pójdziemy za radą, bo nie chodzi Sokolstwu o nic więcej jak o tworzenie siły zbrojnej”.

Tymczasem wielu Sokółów w oczekiwaniu na wyjazd do Europy porzuciło już pracę. W styczniu 1915 r. kilku spośród nich przedostało się do powołanego w Królestwie Polskim przy armii rosyjskiej tzw. legionu puławskiego (tworzonego przez płk. Gorczyńskiego), mając na to zgodę władz Związku. Mieli oni rozeznaczyć się w sytuacji, możliwościach organizacyjnych, a przede wszystkim warunkach politycznych, na jakich tworzone polskie formacje. Ponieważ warunki te, zwłaszcza w odniesieniu do postulatu niepodległej i zjednoczonej Polski, okazały się niezadawalające, nie doszło, mimo podjętych już działań organizacyjnych, do masowego wyjazdu Sokółów do legionu puławskiego. Cała sprawa ograniczyła się do epizodu, udziału w legionie zaledwie kilku ochotników ze Stanów Zjednoczonych.

Nie doszło również, mimo podejmowanych ze strony Sokolstwa polskiego w Kanadzie w 1915 i 1916 r. starań, do utworzenia legionu polskiego w Kanadzie. Orędownikiem tej idei był na gruncie

21 STYCZNIA 1924 r. zmarł Włodzimierz Lenin. Jedną z jego największych trosk w ostatnim okresie życia było utrzymanie jedności partii. Obawiał się poważnie o to, że po jego śmierci rywalizacja Stalina z Trockim doprowadzić może do rozbieżności RKP(b). Pragnąc temu zapobiec, napisał swoje słynne dwa listy do Zjazdu, znane często jako testament polityczny Lenina. Dokonał w nich m. in. charakterystyki ówczesnych przywódców radzieckich, w tym szczególnie właśnie Stalina oraz Trockiego. Wobec każdego z nich wysunął poważne zastrzeżenia. Stalinowi zarzucił zapędy dyktatorskie oraz brutalność w postępowaniu wobec współtowarzyszy. Trockiego uznał co prawda za jednego z najzdolniejszych członków KC, ale zarzucił mu zbyt dużą pewność siebie i przesadne pasjonowanie się czysto administracyjną stroną spraw. Te cechy obu przywódców mogły, zdaniem Lenina, doprowadzić do rozłamu w partii. Lenin zdawał sobie też sprawę z faktu, iż obydwaj się wzajemnie nie znoszą. „W stosunkach między nimi — pisał — tkwi, według mnie, więcej niż połowa niebezpieczeństwa rozłamu”. Dlatego też w żadnym z nich nie widział swego następcy.

Trockiemu śmierć Lenina rozwiązała ręce. Dotąd bowiem musiał się liczyć z jego zdaniem. Autorytet Lenina był w partii i społeczeństwie nie do podważenia. Obecnie pozostali ci, wobec których Trocki nie posiadał żadnego kompleksu niższości. Samego Stalina uważał np. za jednostkę bardzo przeciętną. Ta pewność siebie okazała się jednak zgubną. Spowodowała, że Trocki nie potrafił właściwie ocenić swojej sytuacji. Nie dostrzegł, że jego poprzednie wystąpienia i ataki nie tylko nie osłabiły pozycji Stalina, lecz nawet

Trockiego walka o władzę (2)

Leszek Piątkowski

umocniły ją. Pozwoliły bowiem Stalinowi zdobyć opinię obrońcy jedności partii oraz kontynuatora leninowskiej strategii. I to właśnie on, Lew Trocki, swymi nie zawsze przemyślanymi wystąpieniami dopomógł mu w tym. Stalin znalazł się więc w korzystniejszej sytuacji.

Ten układ sił potwierdziły obrady XIII Zjazdu partii w maju 1924 r. Trocki znowu zaatakował i ponownie polemizował z nim Stalin, który nie tylko pozostał na stanowisku sekretarza generalnego, ale uchodził już za głównego teoretyka partii. Kolejny raz większość delegatów popierała Trockiego i jego zwolenników.

Energia Trockiego dała jednak znowu znać o sobie. Nie bacząc na to, że rzeczywistość zweryfikowała jego teorię „permanentnej rewolucji”, gdyż stało się już oczywiste, że na przełomie 1923 i 1924 roku nie było żadnych szans na zwycięstwo rewolucji na Zachodzie, wrócił do tej teorii jeszcze raz, publikując książkę pt. „1917”, znaną też pod tytułem „Nauki Października”.

Był to kolejny błąd taktyczny Trockiego. Otóż starając się w tej publikacji podnieść wyraźnie swoje zasługi

w rewolucji październikowej oraz budownictwie socjalizmu w ZSRR, chcąc nie chcąc, podważył autorytet Lenina i jego wkład w rozwój państwa radzieckiego. Wykorzystali to umiejętnie przeciwnicy Trockiego ze Stalinem na czele, przeprowadzając szeroką kampanię polemiczną na łamach prasy. Kolejne starcie zakończyło się sukcesem Stalina.

Ta porażka miała dla Trockiego poważne konsekwencje. W styczniu 1925 r. Plenum KC RKP(b) udzieliło mu ostrzeżenia, domagając się pełnego podporządkowania dyscyplinie partyjnej. Zlekceważenie tego ostrzeżenia przez Trockiego spowodowało usunięcie go przez Prezydium CKW Rad ZSRR w dniu 26 stycznia 1925 r. ze stanowiska komisarza ludowego spraw wojskowych i morskich oraz z funkcji przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojskowej.

Był to niewątpliwie przełomowy moment w walce Trockiego ze Stalinem. Dotychczas panowało bowiem powszechne przekonanie, nie tylko zresztą w ZSRR, że Trocki jest bardzo popularny w Armii Czerwonej. Stalin więc zapewne długo musiał się wahać, nim zdecydował się na usunięcie przeciwnika ze stanowisk. A gdy okazało się,

że armia pozostała bierna i pułki nie ruszyły na Moskwę w obronie Trockiego, Stalin głęboko odetchnął. Był już panem sytuacji.

Trocki tego nie zrozumiał. Próbując ratować swoją pozycję, postanowił połączyć się z tzw. „nową opozycją”. Terminem tym określa się grupę działaczy RKP(b), która wystąpiła na przełomie lat 1924 i 1925 z krytyką większości KC. Tworzyli tę grupę m. in.: Zinowiew, Krupski, Kamieniew, Iwar Smilga, Chrystian Rakowski, Karol Radek oraz Grigorij Safarow. „Nowa opozycja” negowała możliwość zbudowania socjalizmu w ZSRR bez dokonania rewolucji w zachodniej Europie. Opoziadawała się za szybką likwidacją gospodarstw indywidualnych na wsi. Krytykowała odejście od zasady kolektywnego kierownictwa w partii po śmierci Lenina. Domagała się wreszcie usunięcia Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego WKP(b).

Obradujący w grudniu 1925 r. XIV Zjazd Partii potępił „nową opozycję”. Mimo tego Trocki postanowił połączyć się z nią. Był to z jego strony krok desperacki, nie do końca zrozumiały. Poparli przegranych. Powstała w ten sposób tzw. „zjednoczona opozycja”. Po raz pierwszy wystąpiła ona oficjalnie na Plenum KC w kwietniu 1926 r. Swę-



Chicago. Centrum rekrutacyjne do Armii Polskiej we Francji.

amerykańskim, przybyły do Stanów Zjednoczonych z kraju, przez Kanadę, Andrzej Małkowski — twórca polskiego skautingu. W rezultacie, by nie pozostać bezczynnymi, zdecydowano w październiku 1916 r. utworzyć pod egidą Związku Sokolów Polskich (we współpracy z Związkiem Narodowym Polskim — największą organizacją polonijną w Ameryce) — szkołę podchorążych w Cambridge Springs w Pensylwanii (w budynku szkoły średniej, utrzymywanej przez Związek Narodowy Polski), mającą przygotowywać kadry dla przyszłej armii polskiej. Pierwszy kurs rozpoczął naukę w marcu 1917 r.

Nieco inną koncepcję przedstawił Sokolstwu w listopadzie 1916 r., przybyły ze Szwajcarii, delegat Agencji Polskiej w Lozannie, Jan Horodyski. Uzyskał on zgodę wojskowych władz kanadyjskich na przyjęcie do akademii wojskowej w Toronto około 30 Polaków ze Stanów Zjednoczonych jako pełnoprawnych słuchaczy. W porozumieniu z władzami Związku Sokolów oraz z wiedzą Wydziału Narodowego Centralnego Komitetu Ratumkowego Polskiego, z początkiem stycznia 1917 r. 23 młodych Sokolów z terenu Stanów Zjednoczonych udało się w ścisłej tajemnicy (ze względu na neutralność USA) do Toronto, gdzie rozpoczęli naukę na pięciomiesięcznych kursach oficerskich. W rezultacie na wiosnę 1917 r. istniały już na terenie USA i Kanady dwa ośrodki szkolenia kadr dla przyszłej armii polskiej.

Projekt utworzenia takiej armii pod nazwą Armii Kościuski, złożonej ze 100 tys. ochotników, zgłosił na nadzwyczajnym zjeździe Sokolstwa w kwietniu 1917 r. w Pittsburghu Ignacy Paderewski. Na jego wniosek uczestnicy zjazdu zwrócili się telefonicznie do prezydenta Wilsona o zgodę na podjęcie przez Związek Sokolów Polskich rekrutacji do tej armii. Liczono na zaaprobowanie projektu w sytuacji, gdy powszechnie mówiło się o możliwości przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny po stronie aliantów, co też niebawem nastąpiło. Decyzji pozytywnej władz amerykańskich jednak nie uzyskano. Tworzenie autonomicznych, etnicznych formacji wojskowych sprzecznym było z amerykańską polityką integracji społeczeństwa. Projekt Paderewskiego został także bardzo skrytykowany przez wrogi mu, a orientujący się na państwa centralne, Komitet Obrony Narodowej, w odezwie wydanej z okazji przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, jako „niefortunny i śmieszny pomysł artysty” i „wynik ambicji osobistych”.

Nieprowadzenie to w niczym nie hamowało szkolenia kadr. W maju zakończony został kurs oficerski w Toronto. Spośród 23 Polaków 17 uzyskało stopnie oficerskie. Wyróżniających się skierowano na dalsze szkolenie do szkoły oficerskiej w Camp Borden dla uzyskania wyższych stopni oficerskich. Spośród pozostałych, pięciu skierowano w charakterze wykładowców do szkoły podchorążych w Cambridge Springs. Najlepsi ochotnicy pierwszego kursu w Cambridge Springs wraz z grupą wybranych ochotników z terenu Stanów Zjednoczonych (nie tylko Sokolów) znaleźli się w 59-osobowej grupie, skierowanej w maju 1917 r. na drugi kurs w szkole w Toronto. Wydarzeniem istotnym dla całego przedsięwzięcia był fakt przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Rekrutację zaczęto prowadzić bez zachowania ścisłej, jak dotąd, tajemnicy. Natomiast przełomowe znaczenie dla całej akcji miał wydany w czerwcu 1917 r. dekret prezydenta Francji o utworzeniu Armii Polskiej we Francji, do której pospieszili ochotnicy z Ameryki.

Dekret Raymonda Poincaré z 4 czerwca 1917 r. był dla sprawy polskiej w latach I wojny światowej jednym z najbardziej doniosłych faktów. Oznaczało to m.in., iż Francja zdecydowana jest popierać odbudowę państwa polskiego, aczkolwiek okoliczności, w jakich akt ten został wydany, brak konsultacji z reprezentantami społeczeństwa polskiego, brak politycznej polskiej nadbudowy nad wojskiem, zaniechanie w tej mierze konsultacji z rządem Stanów Zjednoczonych, które stanowić miały bazę rekrutacyjną dla przyszłej armii — te okoliczności spowodowały nieco zamieszanie także wśród polityków polskich w samym Paryżu.

W Stanach Zjednoczonych dekret Poincaré przyjęto wśród Polonii z entuzjazmem. Związek Sokolów Polskich wydał 9 czerwca 1917 r. odezwę do Polonii, wzywającą młodzież do wstępowania do szkoły podchorążych w Cambridge Springs, gdzie 21 czerwca rozpoczął się kolejny kurs przeznaczony dla 300 ochotników. Fundusze na ten cel uzyskano ze zbiórki wśród Polonii. Był to już ostatni kurs podchorążowski, bowiem w sierpniu 1917 r. szkołę zamknięto, a absolwentów skierowano do kanadyj-

skiej szkoły oficerskiej w Camp Borden, gdzie udawały się też następne grupy ochotników.

Z początkiem września przybyła do Stanów Zjednoczonych polsko-francuska misja wojskowa, na której czele stał znany pisarz Wacław Gąsiorowski. Jej zadaniem było uzyskanie zgody rządu Stanów Zjednoczonych na przeprowadzenie rekrutacji do Armii Polskiej we Francji oraz porozumienie się z organizacjami polonijnymi co do warunków i sposobu przeprowadzenia tej rekrutacji. Było to tym bardziej istotne, iż 6 czerwca na terenie Stanów Zjednoczonych władze zarządziły powszechną rekrutację mężczyzn w wieku poborowym, której podlegali także Polacy posiadający obywatelstwo amerykańskie.

Wydział Narodowy Polski — swego rodzaju centrala ponadorganizacyjna, skupiająca wiele centralnych i lokalnych organizacji polonijnych — powołał specjalną Polską Komisję Wojskową z Teofilem Starzyńskim, prezesem Związku Sokolów Polskich, jako przewodniczącym, dla organizowania rekrutacji do Armii Polskiej.

Prowadzone w Waszyngtonie zabiegi misji wojskowej, wspierane czynnie przez Ignacego Paderewskiego i Ambasadę Francuską, doprowadziły do wydania 6 października 1917 r. przez Departament Wojny zezwolenia na rekrutację tych spośród imigrantów polskich, którzy nie posiadali obywatelstwa amerykańskiego, bądź też z innych względów (np. wiek) nie podlegali poborowi do armii amerykańskiej oraz nie mieli rodzin na swym wyłączonej utrzymaniu.

Już 9 października pierwszy transport ochotników opuścił centrum rekrutacyjne w Chicago, udając się do obozu w Niagara-on-the-Lake w prowincji Ontario, oddanego specjalnie na ten cel Polakom przez władze kanadyjskie. Pod koniec października okazało się, iż obóz nie jest w stanie pomieścić wszystkich żołnierzy. Było ich już przeszło 3 tysiące. Polska Komisja Wojskowa zalecała nawet oficerom rekrutacyjnym wstrzymanie akcji poborowej. Ze względu na panujące nastroje nie było to możliwe. Okresowo umieszczano kolejne transporty ochotników w Buffalo. W grudniu amerykańskie władze wojskowe oddały do dyspozycji Polaków wojskowy obóz Fort Niagara, położony na amerykańskim brzegu naprzeciw obozu w Niagara-on-the-Lake. Umieszczenie w nim 2 tys. ochotników pozwoliło na rozwiązanie wszystkich trudności. Trzeci obóz zorganizowano w listopadzie w St. Johns w Quebec (Kanada).

Liczba centrów (punktów) rekrutacyjnych na terenie Stanów Zjednoczonych zwiększyła się z 12 w początkach października do 41 w końcu grudnia 1917 r. i 46 w lutym 1918. Trudności uwiadczyły się natomiast w zakresie możliwości organizacji przewozu ochotników do Europy. Transport wojsk amerykańskich oraz sprzętu wojennego uznawano za pierwszorzędne. Jednakże już 16 i 19 grudnia udało się wyekspedować na statkach ss. „Niagara” i ss. „Turaine” dwa pierwsze transporty żołnierzy polskich z obozów w Kanadzie. 28 grudnia 1917 r. oddziały te wylądowały we Francji.

(cdn.)

je stanowisko zaprezentowała w tzw. „Oświadczeniu 13”. Powtórzono w nim w zasadzie podstawowe zarzuty dotyczące polityki ówczesnego kierownictwa partii.

Zakończyło się tak, jak musiało się zakończyć. Przywódcy opozycji zostali kolejno pozbawieni swoich dotychczasowych stanowisk. Na pierwszy ogień poszedł Zinowiew, którego w lipcu 1926 r. usunięto z Biura Politycznego KC WKP(b). „Zjednoczona opozycja” nie potraktowała chyba poważnie tego ostrzeżenia. Latem i jesienią 1926 r. przeprowadziła ona cykl zebrań w komórkach partyjnych zakładów pracy Moskwy i Leningradu, a także sił zbrojnych i uczelni wyższych. W tej sytuacji, obradujące w październiku 1926 r., połączone Plenum KC i CKK WKP(b) postanowiło zwolnić Zinowiewa z pracy w Kominternie, zaś Trockiego i Kamieniewa usunąć z Biura Politycznego.

Decyzje te nie przerwały działalności „zjednoczonej opozycji”. Z tym, że od tego momentu zaczęła ona tworzyć swą podziemną strukturę. Posiadała tajne drukarnie, wydawała wewnętrzny biuletyn. Latem 1927 r. opublikowała tzw. „Oświadczenie 83”, zaś 3 września 1927 r. przywódcy opozycji wysłali do KC i rozpropagowali po organizacjach partyjnych obszerny list, znany jako „Platforma 13” lub też „Platforma Zjednoczonej Opozycji”. Po raz kolejny powtórzono tezę o niemożności zbudowania socjalizmu w jednym wyizolowanym kraju. Postępy socjalizmu w ZSRR widziała opozycja w perspektywie zwycięstw rewolucyjnego ruchu robotniczego na Zachodzie. Opowiadala się też za szybkim tempem uprzemysłowienia kraju. Wyrażała jednocześnie wątpliwości co do szans powodzenia średniego chłopstwa dla budownictwa socjalistycznego.

List ten wywołał wewnątrzpartyjną dyskusję, w której uczestniczyło około

745 tys. członków WKP(b). Zakończyła się ona klęską opozycji. Przeciw linii KC miało wypowiedzieć się tylko 4 tys. członków. W tej sytuacji połączone plenum KC i CKK partii, obradujące w październiku 1927 r., zdecydowało się na wykluczenie Trockiego oraz Zinowiewa ze składu KC.

Przegrywając walkę opozycja uczyniła kolejny desperacki krok — wniosła dyskusję poza partię. 7 listopada 1927 r., w 10 rocznicę Rewolucji Październikowej, „zjednoczona opozycja” zorganizowała kontrmanifestację w Leningradzie, zaś w Moskwie wzięła udział w ogólnym pochodzie, lecz z własnymi transparentami. To, wywołując przesądziło sprawę. 14 listopada połączone plenum KC i CKK wykluczyło m.in. Trockiego i Zinowiewa z partii. Wkrótce zaś Trocki został w trybie administracyjnym przymusowo osiedlony w Alma Acie.

Przebywał tu do 22 stycznia 1929 r. Tego dnia opuścił tę miejscowość, by udać się do Odessy, skąd miał odplynąć do Turcji. Władze radzieckie podjęły bowiem decyzję o pozbawieniu Trockiego obywatelstwa radzieckiego i wydaleniu go z ZSRR. 12 lutego 1929 r. parowiec „Iljicz” wysadził Trockiego, mimo jego protestów, w Stambule. Rozpoczął się ostatni okres w życiu tej postaci. Na emigracji przebywał kolejno w Turcji (1929—1933), Francji (1933—1935), Norwegii (1935—1937) i Meksyku (1937—1940).

Wydalenie ze Związku Radzieckiego nie odebrało Trockiemu energii i chęci działania. Już w 1929 r. zaczęło się ukazywać w Paryżu czasopismo pod jego redakcją — „Biuletyn Opozycji”, które nazwał organem „bolszewików-leninowców”. W publikowanych tam artykułach oraz w wydawanych pracach kontynuował krytykę państwa radzieckiego. Malował taki obraz, że w jego świetle państwo to traciło wszelkie socjalistyczne cechy, stając się od-

mianą społeczeństwa eksploatorskiego i biurokratyzowanego. Dowodził, że w sytuacji, gdy rewolucja socjalistyczna zwyciężyła w jednym kraju, wytworzyła się tam warstwa biurokracji, która odgrywa rolę analogiczną do burżuazji. Zarzut biurokratyzmu stawał w stosunku do partyjnego i państwowego aparatu ZSRR. Przeciwnie jednak jednocześnie ten aparat i jego interesy interesom klasy robotniczej i biednego chłopstwa. Uważał, że aparat ów reprezentuje interesy nie mas pracujących, lecz „silnego chłopstwa”, warstw urzędniczo-inteligenckich, a na arenie międzynarodowej związany jest jakoby z urzędnikami trade unionów brytyjskich i burżuazyjnych „inteligentów z Komintangu”.

W 1930 r. Trocki opublikował książkę pt. „Na nowym etapie”, w której po raz kolejny zaprzeczył możliwość zbudowania socjalizmu w ZSRR. Zaapelował do radzieckiej klasy robotniczej o organizowanie strajków i wezwał do rozpoczęcia wojny domowej. W pracy tej rozwinął również swoją tradycyjną koncepcję „permanentnej rewolucji”. „Rewolucja socjalistyczna — pisał — zaczyna się w ramach jednego narodu, ale nie może się do nich ograniczyć [...]”. W wypadku izolowanej dyktatury proletariatu wewnętrzne i zewnętrzne sprzeczności powiększają się w sposób nieunikniony. Jeśli państwo proletariackie pozostaje w izolacji, ginie w końcu — staje się ofiarą tych sprzeczności. Jego jedynym ratunkiem jest zwycięstwo proletariatu krajów zaawansowanych. Z tego punktu widzenia rewolucja narodowa nie stanowi celu w sobie i jest ogniwem międzynarodowego łańcucha”.

Szczególnie dużo krytycznych uwag poświęcił Trocki Stalinowi i jego polityce. Jest to zresztą całkowicie zrozumiałe. Zarzucał mu samowolę, dążenie do wprowadzenia rządów dyktatorskich, usuwanie siłą przeciwników politycznych, zaprzepaszczenie zdobycy

rewolucji i pierwszych lat władzy radzieckiej. W latach późniejszych oskarżał go również o popełnianie zbrodni na swych przeciwnikach. Zagadnieniu temu poświęcił pracę zatytułowaną „Zbrodnie Stalina”.

Sporo miejsca zajęła Trockiemu również krytyka Międzynarodówki Komunistycznej. Zarzucał partiom Kominternu spełnianie roli konserwatora kapitalizmu. Krytykował przejawy sektarstwa oraz lansowaną przez Komintern ideę tworzenia frontów ludowych. Dowodził, że we wszystkich rozwiniętych krajach kapitalistycznych dojrzały obiektywne warunki do wybuchu rewolucji socjalistycznej. Za jedyną przeszkodę, uniemożliwiającą ten wybuch, uznawał działalność kierownictwa III Międzynarodówki. Przede wszystkim właśnie ideę tworzenia frontów ludowych: „Fronty ludowe z jednej strony, faszyzm z drugiej — to ostatnie ośrodki polityczne imperializmu w walce przeciwko rewolucji proletariackiej, a «wojna-matka rewolucji» przyspieszy jej rozwój w świecie”.

Krytykując III Międzynarodówkę, Trocki od początku pobytu na emigracji myślał o ujęciu w ramy organizacyjne rozproszonych w różnych państwach grup swoich zwolenników. Udało mu się to zrealizować dopiero 3 września 1938 r. Wówczas to w miejscowości Perigny pod Paryżem została podjęta decyzja o utworzeniu IV Międzynarodówki. Program tej organizacji przedstawił Trocki w książce: „Agonia kapitalizmu i zadania IV Międzynarodówki”.

Na uwagę zasługują ostrzeżenia Trockiego przed rozszerzeniem się wpływów faszystowskich w Europie.

Dokończenie na str. 14

ZNOW głośno o plakacie, więc zdecydowałem się napisać coś o tej grafice, będącej ponoć najbardziej demokratyczną sztuką naszych czasów. No bo tak: Idzie sobie obywatel ulicą, choćby Nadbystrzycką, leniwie spoziera dookoła, aż tu nagle wpada mu w oko kolorowa plachta papieru na murze, przedstawiająca np. pyzată buzią dziecka w ujęciu pacyfistycznym. Wpada tak mocno, że w ogóle nie chce wypaść. Wtedy ten obywatel, zniewolony sugestią obrazka, woła spontanicznie: „Ale tegi bachor, pewnie wypaśli go na bebiko”, i zaraz potem ustawia się w kolejkę po taką właśnie odżywkę.

Albo, dajmy na to, idzie sobie przez miasto kobieta, powiedzmy, że wraca z pracy do domu, gdzie czeka na nią mąż, niestety, bardzo cherlawy jego-
mość, do którego już ona jakby straciła sentyment. Niewiasta nie spieszy się, co rozumiale, aż tu nagle wpada w jej frenalce wielki plakat z wizerunkiem atletycznego i wesołego górnika, który rozłącza przed widownią uroki pracy w kopalni. I wtedy ta kobieta dostaje po prostu szoku, wzrusza się i czuje, jak zalewa ją dziewiąta fala miłości do męża — bo on przecież taki słabowity, taki kruchy, że do kopalni na pewno z domu nie ucieknie. W końcu lepszy wróbel w garści, niż atleta na murze.

Fakt, wielka jest demokratyczna siła plakatu.

Los jednak chciał, że nim zabrałem się do zmierzania owej mocy, obejrzałem lubelską wystawę Andrzeja Lachowicza i przeczytałem pewien tekst Agnieszki Morawińskiej.

Kto to jest Lachowicz, wie każde dziecko w Polsce, które miało przyjemność dostać spazmów po zetknięciu się z rodzimą odmianą konceptualizmu. Osiemnaście lat temu wrocławskimi wpadł na pomysł „sztuki permanentnej”, a i teraz, kiedy dobiega pięćdziesiątka, nadal podejmuje próby „adekwatnego przekładu zmieniającej się stale rzeczywistości” na język tyle wizualny, co daleki od tradycyjnego warsztatu plastycznego. Chętnie przy tym posługuje się fotografią, traktowaną oczywiście na sposób instrumentalny, choć wiadomo skądinąd, że potrafi też robić zdjęcia wyborne, autonomiczne lub reklamowe.

Natomiast Morawińska dała się ostatnio poznać szerszej publiczności jako autorka tekstów o sztuce ubiegłowiecznej i współczesnej, drukowanych na łamach „Polityki”, a dowodzących, że fakty artystyczne nie stanowią bytów absolutnie suwerennych, lecz uwikłane są w związki genetyczne i funkcjonalne ze zmiennym duktem tzw. rzeczywistości.

Można zatem powiedzieć, że zarówno artysta wrocławski, jak i krytyk stołeczny poruszają się po świecie w rytmie dialektycznym.

Podobno plakacisci też tak maszerują.

Najnowsze skutki poczynań Lachowicza mieliśmy okazję obejrzyć w lubelskiej Galerii Grodzkiej BWA, gdzie pokazał on różne rzeczy i instalacje,

ujęte m. in. w dwie wystawy pod takimi tytułami: „Energia luzu II” i „Na ukos”.

Ostatnia wypowiedź Morawińskiej to artykuł „Konkurs na plakat akademicki”. Tekst ukazał się w nr 23 „Polityki”, z okazji XII Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie, którego otwarcie ścignęło zresztą do „Zachęty” całą socjetę stolicy, żegnającą następnie ów dzień odświeżony koktajlem w królewskim Wilanowie. Nie uważano, by demokracja graficzna była zakłopotana wpuszczeniem jej na salony.

Przeczytawszy publikację Morawińskiej, poczułem się niby jej brat bliźniaczy, który ze zrozumiałym zakłopotaniem stwierdził oto, że podziela prawie wszystkie opinie młodszej siostry, dotyczące kondycji współczesnego plakatu artystycznego. Doszedłem do wniosku, że nie tu po mnie i wróciłem do Lachowicza.

lo hierarchie aksjologiczne i horyzonty poznawcze człowieka, lub istniało sobie, a nam, jak choćby kropla wody, że zatem to wszystko uległo ostatnio relatywizacji, wypowiedziało posłuszeństwo racjonalnej normie, zwyczajnie stanęło „na ukos”.

No, a pion, ten zwis ciężarny, czy aby on, wyprężony jak symbol totalnego ładu, nie kwestionował sugestii, że wszystko się pokiełbasilo?!

To nie tak — powiedziałby Lachowicz — pion stanowił tutaj wyjątek od reguły, a więc potwierdzał jej uniwersalną, „ukośną” prawomocność.

Karteczkową egzegzę pokazują zamykająca data i godzina narodzin autorskiej wizji. Okazało się, że wiadome myśli dopadły Lachowicza o 4 nad ranem!

Tak wczesny wzwód intelektualny kompromituje wszelkie ewentualne próby polemizowania z artystą, wynosząc całą sprawę w bezdyskusyjne re-

No bo tak: „artystyczne plakaty prezentowane na Biennale kosztują, tworząc wyosobnioną grupę samą w sobie, daleką od tego, co naprawdę dzieje się w dziedzinie przekazywania idei, w sztuce reklamowej, od tego, co widuje się w miastach” — zauważa Morawińska, by wypacjować sprawę takim stwierdzeniem: „Artystyczny plakat stał się akademicką dyscypliną!”.

Święta prawda — znana od dawna, ale chyba nigdy dotąd nie wyrażona tak ostentacyjnie.

Plakat narodził się na bruku kapitalistycznej ulicy, gdzie w latach osiemdziesiątych minionego stulecia. Nianczony przez trzy siostry bliźniacze: burżuazyjną demokrację, konkurencję i technikę, rozwijał się nad podziw szybko i rósł w siłę: propagandową, reklamową, perwersyjną. Tymczasem ludzie przesiadli się z dyliżansów do samochodów i aeroplanów, po

Plakat w skosie albo pion w chaosie

Ireneusz J. Kamiński

Á propos wydała mi się wystawa „Na ukos”, która składała się z dużych plansz fotograficznych, rozwieszonych przy ścianach i tak zmyślnie skomponowanych wewnętrznie, że zmuszających widza do ciągłego przekrzywania głowy aż do słynnego niedyś ciechocińskiego dorożkarza „Krzywy”, zwany także, nie wiadomo dlaczego, „Trauguttem”. Wszystko tam bowiem było na ukos: i drzewa w pejzażu, i ludzie, i jakieś meble — wszystko. Na takim wyrazistym tle, pośrodku sali, umocowana na sznurku zwisającym z sufitu, dyndała sobie drewniana rama w formie kwadratu — również nachylona ukośnie. Ale wewnątrz niej przeżyło się przecież coś normalnego i tak pewnego, jak na przykład grawitacja czy cogito ergo sum. To był pion, taki prawie murarski pion, którym posługują się na co dzień dzielni fachowcy od renowacji PKZ, pardon — Starego Miasta.

Pion w ukosie, czyli samotny człon w chaosie?

Ideologię pokazu autor zechciał był wyjaśnić na karteczce, przyklepionej do starożytnej po renowacji ściany sali ekspozycyjnej. Dowiedzieliśmy się zatem, że to, co do niedawna uchodziło za pewnik, było oswojone miarą, definicją, siatką współrzędnych fizycznych i filozoficznych, co konstytuowa-

jony krystalicznych aksjomatów. Nie pozostaje nam nic innego, jak pójść do łazienki.

Przyznając, koczyło mnie, by pożartować troszeczkę z artysty, przypomnieć mu starodawne spostrzeżenia Rózewicza, Konwickiego czy Iredyńskiego na temat różnokątnie spekania światłomocnej dzisiejszego człowieka. Miałem nawet ochotę zapytać wszystkie strony przedsięwzięcia „Na ukos”, czy idea pokazu warta była tych nakładów energetycznych, jakie poniesiono w trakcie jej lubelskiej materializacji. Kiedy jednak przypominałem sobie tekst Morawińskiej i własne oceny plakatu artystycznego, eksponowanego właśnie w „Zachęcie”, odstąpiłem od tego zamiaru i chwalebnie oto Lachowicza — za odwagę głoszenia prawd banalnych, tyle że ubranych, chyba dla podgrzania gawiedzi, w garniturek jakby ekscentryczny. Artysta jawi się jako ten Wielki Nauczyciel, który pojął, że prawdy oczywiste a niewygodne budzą wstręt wśród ludu, zatem należy je permanentnie wbijać w głowy obywatelstwa.

Na tym właśnie polega dziś „sztuka permanentna”.

W ukośnej perspektywie Lachowiczowego pokazu zmieściłoby się bodaj wszystko: i ontologia, i wagon kartofli, no i oczywiście plakat.

drodze wymyślając jeszcze telewizję, co w końcu, już po drugiej wojnie światowej, mocno ograniczyło obszary oddziaływania i profile stylistyczne ulicznego plakatu.

Na Zachodzie stał się on przede wszystkim narzędziem reklamowania i wyjaśniania życia wedle dekalogu Wielkiego Zarcia, przyprawionego szokiem i sensacją. Przebiegle manipulując stereotypami masowej wyobraźni i wersetami populistycznych mitologii, na świadka głoszonej prawdy przywołując wielkie hiperrealistyczne fotografie, przemawiając zwykle na stacjach metra, dworcach kolejowych i na trasach autostrad — plakat ten skutecznie zaczął odgrywać rolę proroka dobrej nowiny dla wszystkich.

Owszem, na marginesie tej wizualnej agresji pojawiły się plakaty odmienne: bardziej subtelne czy nawet szlachetne w przesłaniu, różnorodne i niekonwencjonalne pod względem formalnym, projektowane w bezpośredniej relacji z sytuacją w tzw. sztuce wysokiej. I one właśnie decydowały o charakterze Biennale w Warszawie, które po raz pierwszy otwarto w 1966 roku.

Długo cieszyliśmy się tą wystawą, faktycznie cenioną w świecie, który zresztą już wcześniej przyjął do wiadomości istnienie oryginalnej „polskiej szkoły plakatu”, interpretującej głównie tematykę kulturalną i społeczno-

Secesja w architekturze Lublina (4)

Alicja Kurzątkowska

kamena

6

BARDZO zróżnicowana jest secesja urbanizowanych przedmieść i peryferii śródmieścia. Nie występują tu już ciągi kamienic o zbliżonym charakterze ale pojedyncze budynki o odmiennie potraktowanych bryłach i elewacjach.

Przy ul. Narutowicza zdecydowanie secesyjną formę mają kamienice pod nr. 47 i 25. W dekoracji pierwszej, stojącej na narożniku z ul. Konopnicką, obok poziomych pasów i innych elementów geometrycznych, zwraca uwagę siedmiokrotnie powtórzony motyw głowy kobiecej, ozdobionej kwiatami u góry i wstęgami u dołu.

Kamienica przy ul. Narutowicza 25 pozbawiona została w latach międzywojennych wystroju architektonicznego. Dziś przemawia asymetrycznością w zakomponowaniu fasady, a także secesyjnym opracowaniem okien oraz krat: bramnej i balkonowych. O ile dla krat balkonowych o dekoracji geometrycznej, ale i operującej motywem róży, można znaleźć analogie w balustradach innych lubelskich balkonów, o tyle krata bramna uderza indywidualnością.

Zupełnie trwały charakter ma kamienica przy ul. Górnej 7 o elewacji rzeźbiarskiej i światłocieniowej. Dekoracja tego obiektu nie jest tak konsekwentna jak poprzednich. Pewna naiwność i kopia form architektonicznych nie odbiera jednak kamienicy, cech dzieła oryginalnego.



Krata bramna w kamienicy przy ul. Narutowicza 25. Fot. Przemysław Ostżyłek

polityczną, co było oczywiste w kraju, gdzie ideologiczne wizje przyszłej „Arkad” socjalnej skrywały czy łagodziły aktualny niedostatek dóbr konsumpcyjnych i nowoczesnej techniki, a konkurencja ekonomiczna nie mieściła się we wzorze ustrojowym. Nasi plakacisci produkowali dzieła sztuki, w których ujawniali się tylko małe fragmenty gry społecznej.

Aż tu nagle podnoszą się głosy, że „Artystyczny plakat stał się akademicką dyscypliną”, daleki jest „od tego, co widuje się w miastach”.

Owszem, naturalnie.

Ale jakim cudem może być inaczej, skoro autorzy plakatów artystycznych uznają się za suwerennych kreatorów i miast przyglądać się rzeczywistości, trywialnej niestety, chętniej gapią się w lustro lub podglądają kolegów po fachu?!

Plakat artystyczny to zmanierowany salonowiec, poczęty w związku artysty z dziewczyną plebejską i po latach wypierający się matki, to takie wudu-zombie ogólniejszego procesu kulturowego, który wiele rzeczy postawił „na ukos”.

Dajmy jednak pokój tej sprawie, albowiem stanowi ona blachy margines współczesnej komunikacji wizualnej, rozwijającej się m. in. w scenerii ulicznej lub dworcowej, a nie salonowej.

I na koniec, dla pokrzepienia serca, przypomnijmy, czym zajmowali się polscy graficy w czasach, kiedy plakat był plakatem, a Polska stawała się II Rzeczypospolitą.

Oto czarno-biały plakat z kampanii poprzedzającej wybory do Sejmu RP: na papierze o wymiarach 56x44,3 cm widnieją karykatury partii politycznych oraz taki tekst:

„Patrzcie jak obszarnek, — jaśnie pan — pędzi barany na podwórko z ósemką! Tylko bowiem barany będą głosować na ósemkę, która jest numerem obszarneków, paskarzy, hrabiów i wrogów ludu. Lud polski będzie głosował tylko na jedynkę [...]”.

„1” oznaczała listę PSL pod przewodnictwem Wincentego Witosa.

A oto inny plakat, kolorowy, z 1919 roku, o formacie 97,5x62,2 cm: przedstawia on robotnika układającego chwiejną (zaraz runie) piramidę z napisów:

„drożyzna, sobkostwo, paskarstwo, zdżiczenie; 1-szy strajk; podwyżka zarobków, wzrost cen towarów; większa drożyzna, paskarstwo; 2-gi strajk, zmniejszenie produkcji; podwyżka płac; większa drożyzna, paskarstwo hulają; 3-ci strajk, chciwość; podwyżka płac; większa drożyzna, paskarstwo; 4-ty strajk, prowokacja; wyższe płace; drożyzna szaleje, spadek marki”.

Plakat firmował Związek Szerzenia Idei Polskiej, a według W. A. Rogersa rysował na kamieniu E. Bartłomiejczyk, który w późniejszych latach zyskał opinię jednego z najwybitniejszych naszych grafików...

PS. Oba plakaty z międzywojnia oferowano na aukcji grafiki, urządzonej w maju przez warszawską spółkę „Uni-Art”, która z tej okazji opublikowała odpowiedni katalog.

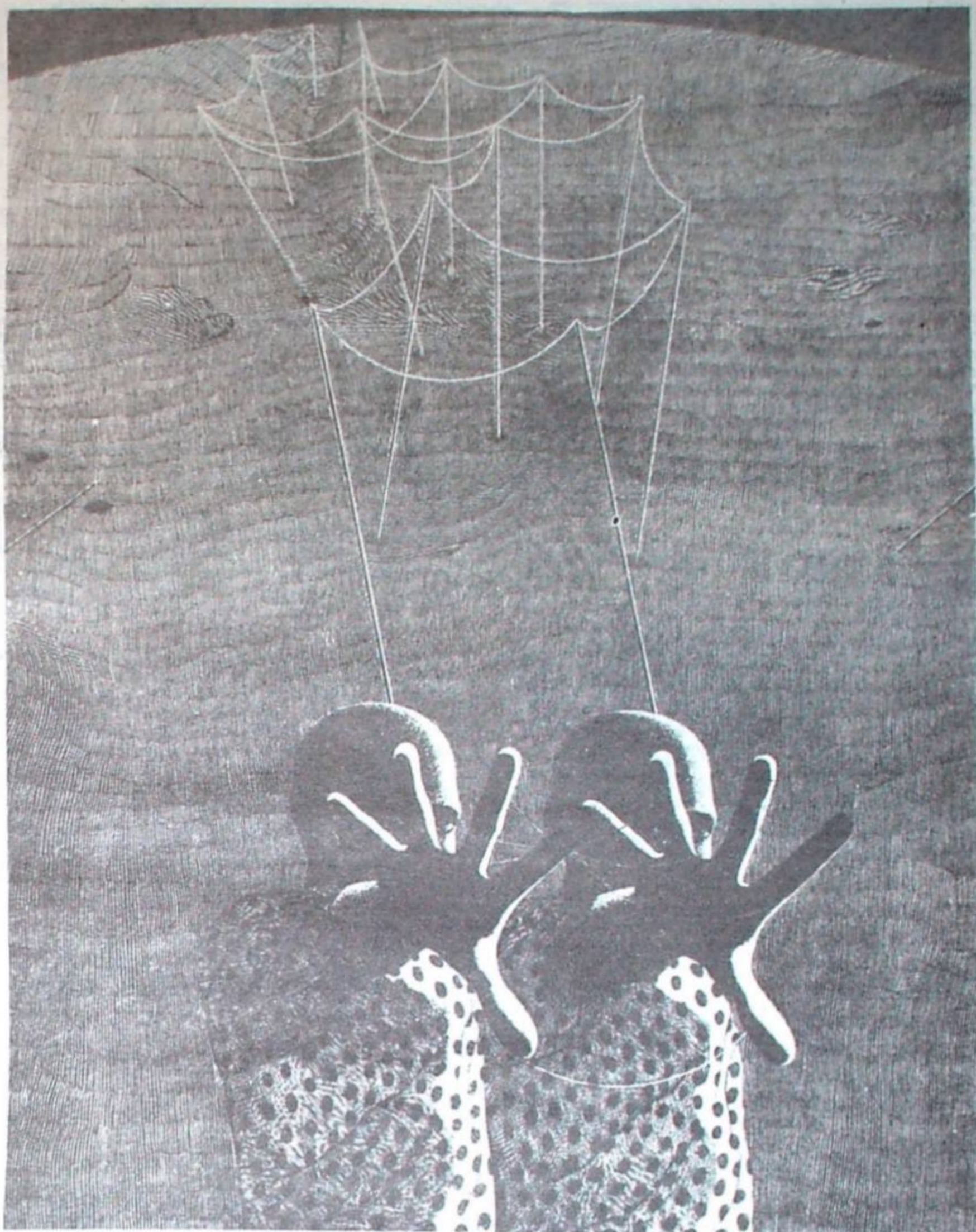
Szczególne miejsce w tym czwartym rejonie występowania secesji w Lublinie przypada kamienicy przy ul. Buczyńska 23. Jest to monumentalny budynek z wielką fasadą, potraktowaną bardzo płasko, a urozmaiconą nadwieszonym wykuszem przechodzącym w balkon. W dekoracji, operującej dużym zestawem motywów roślinnych, najbardziej oryginalne są potrójne głowy słonecznika, użyte jako kapitele.

Dojrzałą, elegancką odmianę secesji reprezentuje kamienica przy ul. Rusałka 15. Jest to zwarta trzypiętrowa, wzniesiona ok. 1907 roku kamienica, zajmująca narożnik z ul. Wesolą, z dość głębokim traktem, co pozwoliło na oddzielenie części frontowej od tylnej, kuchennej. Każda z nich posiada własną klatkę schodową. Na półpiętrze obie klatki schodowe łączą przeszklona ścianka z takimiż drzwiami. Układ domu i jego dwie elewacje komponowane są zgodnie z zasadami secesji, a w dekoracji, obok typowo wiedeńskich form geometrycznych, występują też manki kobiece.

Ostatnim domem z tej grupy, któremu należy się wzmianka, jest kamienica przy ul. 1 Maja 41, wzniesiona na odległym przedmieściu. Niższa i nie tak okazała, stanowi jednak dobry przykład architektury o zmniejszonej skali, komponowanej z zastosowaniem wszystkich reguł secesji.

(Dokończenie nastąpi)

Z twórczości graficznej Maksymiliana Snocha



Jak informowaliśmy w poprzednim numerze „Kamena”, Maksymilian Snoch został laureatem Nagrody Artystycznej m. Lublina, przyznawanej rokrocznie (od 1987 r.) tylko jednemu twórcy którego osiągnięcia uznano za najwybitniejsze w minionym sezonie kulturalnym. Ponieważ o sztuce graficznej M. Snocha pisaliśmy stosunkowo niedawno (publ. „To jest piękne” w „Kamieniu” nr 4/88), obecnie przypominamy tylko podstawowe fakty z jego biografii.

Urodzony w 1943 r., dyplom w zakresie grafiki na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu otrzymał w 1967 r., by pięć lat później związać się z Lublinem, gdzie aktualnie jest docentem w Zakładzie Grafiki Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, prowadząc tam pracownię wypukłodruku. Uprawia grafikę, rysunek, zajmuje się plakatem. Swoje prace prezentował na licznych wystawach i konkursach krajowych i zagranicznych (Belgia, Brazylia, Czechosłowacja, Finlandia, Francja, Hiszpania, Holandia, Japonia, Jugosławia, Kanada, Korea Płd., Kuba, Norwegia, NRD, Portugalia, RFN, Szwajcaria, Szwecja, Turcja, USA, Węgry, Włochy, ZSRR). Otrzymał wiele nagród i wyróżnień, w tym Grand Prix 3 Międzynarodowej Wystawy Miniatury Graficznej w Seulu (Korea Płd., 1984) i I nagrodę 2 Międzynarodowego Biennale Grafiki w Wakayamie (Japonia, 1987). Miał 26 ekspozycji indywidualnych: w Polsce, USA, Korei Płd., RFN, Hiszpanii. Jego prace znajdują się w licznych muzeach i galeriach krajowych i zagranicznych.

Warto też wiedzieć, że w minionym roku doprowadził do otwarcia Małej Galerii Grafiki w lubelskim Muzeum Józefa Czechowicza. Chwali się ona ambientnym, ogólnopolskim programem oraz — co nie takie u nas zwyczajne — wierną publicznością.

M. Snoch jest członkiem World Print Council w San Francisco (od 1981 r.) i stowarzyszenia „Amigo del ARCO” w Madrycie (od 1987 r.).

Reprodukowane prace określają aktualny profil twórczości graficznej i rysunkowej artysty.

IJK

Repr. Piotr Maciuk

BYL to jedyny stały partyzancki szpital w kraju. Jego oficjalna nazwa brzmiała: „Szpital nr 665”. Ów numer wziął się od kryptonimu, jakim w akowskiej konspiracji oznaczony był Obwód Biłgoraj, na którego terenie egzystowała owa całkowicie unikalna placówka.

Stał „Szpital 665” w jednym z zakątków Puszczy Solskiej, w wysokim sosnowo-jodłowym lesie, nad niewielkim potoczkiem, w odległości dwóch kilometrów od wsi Trzapietniak. Od północy chroniły go rozległe, trudne do przebycia bagna, w niedalekiej odległości obozowały partyzanckie oddziały Adama Haniewicza — „Woyny” i Konrada Bartoszewskiego — „Wira”.

Szpital mieścił się w dwóch solidnych drewnianych niemieckich składanych barakach wojskowych. W większym z nich urządzone zostały dla chorych oraz salę ambulatoryjno-operacyjną, w drugim, o wiele mniejszym, mieściła się kuchnia. W pobliżu znajdowała się studnia. Przed budynkami, pod koronami drzew, stał długi drewniany stół, zbity z prostych desek, otoczony ławami. Była to szpitalna jadalnia. Główny barak został ustawiony w ten sposób, że przez jego środek przechodził pierś wysokiej jody tak, iż tworzył się nad dachem rodzaj parasola, doskonale maskują-



Szpital nr 665

cego szpitalne pomieszczenia przed okiem niemieckich samolotów rozpoznawczych.

Znajdowali tu pomoc lekarską partyzanci „Woyny” i „Wira”, ale także wszyscy inni żołnierze różnych leśnych oddziałów. To właśnie tutaj kurował się po operacji ropnia okołonerwkowego major „Feliś” z radzieckiego oddziału partyzanckiego. Przewiół go, w stanie ciężkim, z objawami zakażenia ogólnego, major Armii Krajowej Stanisław Prus. Operacja przebiegła pomyślnie i po kilku tygodniach chorego zabrali z lasu specjalnie przylany radziecki samolot.

Na co dzień w szpitalu dokonywano nacięć ropni, usuwania kul i odłamków, szycia ran, nakładania gipsów na złamane podczas bojowych akcji ręce lub nogi.

Komendantem szpitala był lekarz obwodu biłgorajskiego AK, Lucjan Kopeć — „Radwan”, a przełożoną sanitariuszek — Janina Roguska (później Roguska-Bartoszewska) ps. „Nina”. W pierwszym okresie lekarzem był tu również dr „Biga”. W późniejszej fazie istnienia szpitala przybył na stałe także drugi, obok „Radwana”, lekarz — Zbigniew Krynicki — „Korab”.

Myśl zorganizowania stałego leśnego szpitala narodziła się w partyzanckim obozie por. „Wira” w pierwszych dniach maja 1944 r. Miał na tę decyzję wpływ fakt, że po ostatniej akcji w Suścu na stacji kolejowej leżało w bunkrze „Wira” pięciu rannych partyzantów, potrzebujących stałej opieki lekarskiej, a nasilające się działania bojowe kazały przypuszczać, że w najbliższym czasie w oddziałach partyzanckich, operujących w Puszczy Solskiej, znajdzie się coraz więcej rannych lub kontuzjowanych żołnierzy, których nie będzie można — jak to dotąd niejednokrotnie bywało — zameldować pod

falszowymi nazwiskami w okolicznych wsiach lub nawet w samym powiatowym szpitalu w Biłgoraju, gdzie pod okiem jego dyrektora, i zarazem szefa służby medycznej obwodu AK, dr. Stanisława Pojaska, dochodzili oni bezpiecznie do zdrowia, zarejestrowani jako „ofiary nieszczęśliwych wypadków”...

„Radwan” wybrał odpowiednie miejsce. Co do samych „budynków szpitalnych” to postanowiono „zorganizować” je na stacji kolejowej Długiej Kąta, niedaleko od Józefowa Biłgorajskiego, gdzie dotąd stały, służąc okupantowi.

W kilka dni później „Radwan” wraz ze Stanisławem Kowalskim — „Hukiem”, sanitariuszką „Niną” i kilkoma jeszcze żołnierzami z oddziału „Wira” pojawił się w Długiej Kącie, zupełnie nie krępując się obecnością Niemców. Ci zresztą zaszli się w swych pomieszczeniach, udając, że w ogóle niczego nie zauważają.

Rozebrane baraki miały być przetransportowane do lasu na furmankach, dostarczonych przez dowódcę placówki AK w Majdanie Napręskim, por. Franciszka Mielniczka — „Jeża”. Jedynymi strzałami podczas tej akcji były te oddane w powietrze, na postrach, przez partyzantów... Ostatecznie całą akcję dokończył w kilka dni później „Huk”, dostarczając baraki na miejsce wybrane przez „Radwana”. Pomagali mu ludzie od „Wira”, a furmanki-podwoje były własnością mieszkańców wsi Aleksandrów. Porucznik „Huk” osobiście nadzorował budowę leśnego szpitala, mając po temu odpowiednie kwalifikacje — był z wykształcenia saperem.

Okolo 20 maja 1944 r. szpital był gotów. W pomieszczeniu dla chorych znajdowało się czternaście łóżek z porządną pościelą, uszytą z kolorowych spadochronów zrutowych. Łóżka były równo zasłane zrutowymi kocami. Ambulatorium zostało bogato wyposażone przez dyrektora biłgorajskiego szpitala, doktora Pojaska. Kuchnia posiadała pełne wyposażenie. Przygotowano również pomieszczenia mieszkalne dla personelu, pomieszczenia magazynowe, stajnię. Posiadał szpital swój oddział osłonowy: trzynastu żołnierzy pod dowództwem kaprala Władysława Drygasa — „Zbika”, doskonale uzbrojonego w niemiecką i aliancką ręczną broń maszynową, a także w dwa „elkaemy”, dwa rkm-y oraz karabin przeciwpancerny.



Żołnierski obiad z wiadrzem ajerkoniaku
Repr. Andrzej Polakowski

Personel szpitala stanowili wspomniani już tutaj lekarze: „Radwan” (przejęciowo „Biga”) oraz „Korab”. „Nina” kierowała pracą sanitariuszek: m.in. Danuty Wójcik — „Danusi” i Anny Sobczak — „Brzozy”. Był także personel administracyjny: Halina Wójcik — „Halina” i Stefania Nowak-Mirska — „Stefcia”. Wielką pomoc w urządzaniu tej niezwykłej „placówki zdrowia” okazała Aniela Nowakówna — „Agnieszka” z Długiego Kąta oraz członkini Wojskowej Służby Kobiet ze wsi Trzapietniak.

I wreszcie — żywy inwentarz. Stanowiła go para koni, ofiarowanych przez dowódcę jednego z oddziałów partyzanckich, por. Józefa Styglińskiego — „Corda”, oraz mleczna krowa, która była darem por. Konrada Bartoszewskiego — „Wira”. Miary wyposażenia „Szpitala nr 665” dopełniał zrutowy odbiornik radiowy i linia telefoniczna, łącząca szpital z obozem „Wira” oraz obozem kompanii sztabowej „Woyny”.

Lekarze, „Radwan” i „Korab”, nie posiadali wprawdzie jeszcze dyplomów (byli przed wojną studentami OWSan-u, uczelnia kształcąca podchorążych lekarzy wojskowych), ale znaleźli się podczas okupacji w biłgorajskim szpitalu, przeszli doskonałą szkołę medycyny pod ręką dr. Stanisława Pojaska, „Radwan” był już niezłym chirurgiem, a nie ustępował mu „Korab”.

Co do przełożonej sanitariuszek, Janiny Roguskiej, to znalazła się ona na tych terenach dopiero pod koniec kwietnia 1944 r., przyjeżdżając z Warszawy do Józefowa Biłgorajskiego z ramienia stołecznej konspiracji z ładunkiem „bibuły”. I z mocnym postanowieniem dostania się do jakiegos leśnego oddziału, co istotnie znalazło swój pomyślny finał. „Wir” miał właśnie w swym bunkrze kilku rannych i musiał im zapewnić stałą pomoc i opiekę medyczną.

Niewiele ponad dwadzieścia lat licząca „Nina”, córka radomskiego adwokata i notariusza, miała już za sobą kilkuletnią działalność w Armii Krajowej, ukończoną na Żoliborzu konspiracyjną podchorążówką a przede wszystkim dyplom w warszawskiej szkole pielęgnarskiej, prowadzonej przez Fundację Rockefellerowską, oraz rozpoczęte studia na kursach lekarskich Zaorskiego, będących w gruncie rzeczy zakonspirowanymi normalnymi studiami medycznymi. W Warszawie brała udział w akcjach „małego sabotażu”: w „gazowaniu” kin, unieruchamianiu niemieckich samolotów, przecinaniu linii telefonicznych. Zajmowała się także m.in. zakupem i transportem broni.

Uroczyste otwarcie „Szpitala nr 665” odbyło się — początku drugiej połowy maja 1944 r., w dniu Zielonych Świąt. Przybyli goście z okolicznych oddziałów i z komendy Obwodu, a także zaprzyjaźnieni cywile. O godz. jedenastej rano przy specjalnie wzniesionym pod koronami drzew ołtarzu odprawił mszę połową partyzancki kapelan ksiądz Bolesław Świs. Potem poświęcił szpital, wygłaszając również stosowne przemówienie. Następnie był żołnierski obiad podczas którego niemiernemu z uczestników dobrze w głowie zaszumiało, a to za sprawą krzepkiego „ajerkoniaku”, co — z braku odpowiedniejszego naczynia — zółcił się w blaszanym wiadrze.

„Stary Tygrys”

RECEPTA na udaną biografię historyczną jest tyleż prosta, co trudna w wykonaniu. Wystarczy głośny bohater, (najlepiej — kontrowersyjny w życiu publicznym i osobistym) i dobry autor. „Dobry” — czyli mający i rozumiejący epokę oraz bohatera, a przy tym piszący interesująco, żywo i zrozumiale, bez nudzenia odbiorcy, ale i bez spływania czy upraszczania spraw, wśród których prowadzi czytelnika. Interesujących postaci, także kontrowersyjnych, w historii Polski i powszechnej dostatek, dobrych autorów jakby nieco mniej.

Trzymając się przepisanej „recepty”, spróbujmy spojrzeć „co?”, a zarazem

„jak?” pisze Wiesław Śladkowski o bohaterze swojej ostatniej książki.

„Georges Clemenceau. W jego postaci jak w soczewce skupiły się wszystkie blaski i cienie III Republiki. Życie i kariera polityczna Clemenceau, pełne wzniołości i upadków, stanowią też znakomite odzwierciedlenie la belle époque w dziejach Francji, zakończonej kataklizmem i wojny światowej. Człowiek o bujnym temperamencie i fascynującej osobowości, przyciągający i zarazem odpychający, bezwzględny polityk, noszący wymowny przydomek „Tygrysa”, a następnie „Starego Tygrysa”, odegrał pod koniec swego życia w latach wielkiej wojny wybitną rolę historyczną, zyskał imię „Ojca zwycięstwa”. Otoczony legendą, jest bezspornie najbardziej kontrowersyjną osobistością tej epoki. Stał się więc bohaterem licznych biografii, wydawanych nie tylko we Francji, ale także w Anglii, Stanach Zjednoczonych, w Niemczech i Związku Radzieckim. Nie ma natomiast polskiej biografii Georgesa Clemenceau. Jest to tym dziwniejsze, iż on właśnie był tym, który z wszystkich polityków francuskich wykazywał najwyższe zainteresowanie i przyjaźne uczucia do kraju nad „Wistą”.

Po takiej rekomendacji tylko kilka faktów z biografii „Starego Tygrysa”, prezentowanej na ponad 350 stronach. Urodzony w 1841 r., już w czasie studiów medycznych rozpoczął działalność polityczną i publicystyczną, która we wrześniu 1870 r. doprowadziła go do stanowiska mera XVIII dzielnicy Paryża, robotniczego wówczas Montmartre. Na tym stanowisku przeżył Clemenceau oblężenie stolicy Francji przez wojska pruskie i doznał się wybuchu Komuny Paryskiej.

Był to początek III Republiki we Francji (1870—1940). W jej siedemdziesięcioletnich dziejach mieści się 59 lat działalności politycznej Clemenceau, który w ostatnim roku swego życia (1929) podjął kolejną walkę-polemikę z pamiętnikami marszałka Focha. Napisał wówczas „Blaski i cienie zwycięstwa” zakończył odchodzący polityk znanym przesłaniem do swych rodaków: „Francja będzie taka, na jaką zasłużą Francuzi”.

Szczyt kariery politycznej Clemenceau przypadł na końcowy okres I wojny światowej. Tekę premiera objął w październiku 1917 r., po ukończeniu 76 roku życia (poprzednio był

premierem w latach 1906—1909). w sytuacji bardzo trudnej, kiedy wykrwawione wojska francuskie z trudem operowały się naporowi zwycięskich już na Wschodzie armii niemieckich. Odczłodził z tego stanowiska w styczniu 1920 r., jako „Ojciec zwycięstwa” Francji, ale też z goryczą przegranych właśnie wyborów prezydenckich.

Walka polityczna była namiętnością i treścią jego życia. Czasy, w jakich działał, potrzebowały i kształtowały takich właśnie polityków. Charakterystycznym środowiskiem politycznym, w którym działał Clemenceau, pisze Śladkowski:

„W epoce III Republiki miejsce władców, ich ministrów i marszałków zajęli liczni i bezbarwni ex post zaszę polityków republikańskich, wywodzących się głównie z burżuazji. W czarnych surdutach lub frakach, w cylindrach i z nieodłączną laską zakończoną galką w rękę, wypełniali tłumnie sale Zgromadzenia Narodowego, okupowali krzesła ministerialne. Nie urodzenie, jak dawniej, lecz zdolności, talent, a także pozycja majątkowa, decydowały o ich karierze politycznej, dla której najlepszą odskoczą-

Pod koniec pięknego i radosnego dnia doniesiono „Wierow”, że do Łukowej i w jej okolicy przybyły większe jednostki Kalmuków. Był to początek niemieckich działań przeciwko polskiej partyzance. Działania te na przełomie drugiej i trzeciej dekady czerwca 1944 r. miały doprowadzić do zażartych walk okrążonego przez niemieckie oddziały w Puszczy Solskiej, partyzanckiego zgrupowania AK majora „Kalinę” (Edwarda Markiewicz) i do pamiętnej bitwy pod Osuchami, kiedy to Polacy już po śmierci mjr. „Kalinę”, przebijali się pod wodzą por. „Wira” przez pierścień niemieckiego okrążenia.

W okresie narastającego zagrożenia w końcu czerwca i w pierwszych tygodniach lipca, gdy nad lasami krążyły niemieckie samoloty zwiadowcze, a bombowce zrzucały swój ładunek na okoliczne wsie, gdy dochodziło do coraz częstszych i coraz bardziej krwawych potyczek z oddziałami przeciwnika, do szpitala zaczyna płynąć coraz bardziej nasilający się strumień rannych.

Napiszę o tym w kilkadziesiąt lat później, w niepublikowanej dotąd relacji pt. „Szpital leśny 665”, Janina Roguska-Bartoszewska i Lucjan Kopeć (na tym głównie źródle opieram się w niniejszym artykule).

Szpital udziela pomocy lekarskiej partyzantom polskim i radzieckim oraz rannym podczas bombardowania wiosek. [...] Wśród szeregu drobnych zabiegów niejednokrotnie wykonywano i poważniejsze operacje. Były na przykład dwa wypadki ran postrzałowych brzucha. [...] Do codziennych zajęć należało prowadzenie krótkich historii chorób, księgi zabiegów i ewidencji chorych. Zaglądali też do szpitala lekarze poszczególnych oddziałów: „dr Helena” (Helena Poradowska) i „Oldan” (Tadeusz Blachuta), dowiadując się o stan swoich rannych. Niestety, po zakończeniu dokładnych przygotowań i zaciągnięciu kotła Niemcy 21 czerwca rozpoczęli natarcie od szosy Bilgoraj — Zwierzyniec, rzucając wyborowe oddziały specjalne, szkolone do walk leśnych. Dochodzi do pierwszych starć z oddziałem „Corda” pod Brodziami. W szpitalu „Radwan” otrzymuje telefoniczny rozkaz, żeby nazajutrz rano przysłać patrol sanitarny do obozu „Wojny” i przygotować szpital do ewentualnej ewakuacji. [...] Rano udał się do oddziału „Wojny” patrol sanitarny pod dowództwem „Koraba” z sanitariuszkami „Irką”, „Danusią” i „Brzozą”. Powrócił w południe, przywożąc rozkaz ewakuacji szpitala. Szpital był już na to przygotowany.

Lżej ranni odeszli do domów lub do macierzystych oddziałów; wypadki cięższe odesłano do Bilgoraja. Kilku rannych oraz dobytek szpitalny (po zakończeniu części sprzętu sanitarnego w bębniach zrzutowych) zostaje załadowany na furmanki.

Koło szpitala przechodzą wycofujące się oddziały „Rysia”, „Topoli” i wreszcie „Wojny”. Jest kilku rannych, którym personel szpitala zakłada opatrunki. Na końcu oddziału „Wojny” wycofuje się sztab inspektoratu (zamojskiego — MD) z mjr. „Kaliną” i rtm. „Mieczem”. Czas na ewakuację szpitala. Pozostaje pusty barak z flagą Czerwonego Krzyża. Nie uchroni go to od spalania przez Niemców.

Teraz leśny „Szpital nr 665” nie jest już placówką stacjonarną, ale szpitalem partyzanckim na wozach. A gdy pierścień niemieckiego okrążenia coraz bardziej się zaciesnia, gdy partyzanci postanawiają zapasać w nieprzebyte bagna, szpitalny tabor zostaje porzucony. Rannych przełożono na nosze, szpitalny dobytek rozdzielono pomiędzy personel i żołnierzy. Wkrótce nastąpią „matyczne chwile przebijania się pod Osuchami”. I choć „Szpital nr 665” przestał już istnieć, de facto żyje on nadal, lekarze i sanitariuszki nadal będą nieść pomoc rannym bezpośrednio na polu walki.

Wkrótce po zakończeniu wojny sanitariuszka „Nina” opisała — na prośbę lekarza ze Szczepczewy i zarazem historyka, dr. Zygmunta Klukowskiego — relację ze swych przeżyć podczas walk

zgrupowania majora „Kalinę” Zatyłowana „Wspomnienia sanitariuszki z akcji pod Osuchami”, owa przejmująca, doskonale oddająca atmosferę tamtych dni, opowieść znana była dotąd tylko nielicznym. Oto jej fragmenty, dotyczące przebijania się przez pierścień wojsk niemieckich w nocy z 23 na 24 maja 1944 r.:

Dochodzi godzina trzecia. Niebo na wschodzie ledwie zaczyna szarzeć. Nad wilgotną łąką i zbożem unoszą się tumany mgły. Trawa wydaje się w niej zupełnie srebrzysta, brodzimy w niej po kolana, a mgła zaciera i pochłania w sobie sylwetki naszych postaci. Żołnierze biegną teraz pochyleni z wysuniętą naprzód, zareperowaną bronią i z granatami w ręku. Nie zważam już na to, że opatrunki i narzędzia w mojej torbie sanitarnej brzęczą nieznośnie głośno. Staram „nie tylko biec jak najszybciej i nie stracić z oczu por. „Małego”, „Koraba” i „Radwana”, którzy biegną przede mną. Za sobą słyszę głosy „Hanki” i „Danusi”. Brzeg rzeki zjawia się niespodziewanie — wysoki

TADEUSZ JASIŃSKI
Może nie oni?
Czyż więc nie oni, których darń przykrywa,
ani też tamci, co marmuru płyty
tak ich uciskają, że krzyk przedśmiertny
uwiązł pod złotem wyłobioną chwałą,
może nie oni są bohaterami?
Koledzy, którzy w tym samym szeregu
lub gdzieś w ich cieniu stąpali zaledwie,
tak się dziś puszą i pierś nadstawiają
za czyny tamtych i śmierć wspominają
o tyle tylko, gdy ich wesprzeć może
i tylko wtedy, gdy coś pozostało,
aby przywłaszczyć i przypisać sobie
— teraz, jak niegdyś przy tamtych olbrzymach,
w nimbie ich grobów chętnie odpoczywać,
głośno pouczać tych, co przyszedł po nich,
a więc niczemu zaprzeczyc nie mogą.
Może nie tamci są bohaterami?

i urwsty. Woda szumi głośno — widocznie prąd jest bystry. Ale nie ma czasu na wahanie. „Mały” skacze pierwszy. Zanurzam się za nim w lodowatą wodę. Przechodzi mi na myśl, że jeśli tak ma wyglądać przebijanie się, to nie jest ono wcale atrakcyjne ani specjalnie groźne — najwyżej nieprzyjemne. Lecz nagle rozlegają się suche, ostre serie. [...] Setki świetlnych pocisków jak rozżarzone owady nalatują wprost na nas. [...] Walka rozpoczęła. Por. „Małemu” zaczyna się magazynek. Wściekły — szarpie go i wyrzuca. Po chwili spokojnie przejeżdża z drugiego krótkie serie. [...] Głosy giną w piekielnym jargocie. Wreszcie „Mały” zawraca, by podciągnąć ludzi — i od tej pory już go więcej nikt żywym nie widział. Padł w zbożu o osiemdziesiąt metrów w tyle. [...] Na tle nieustannego ferketu broni maszynowej słychać wybuchy granatów i „gamonów” angielskich. W pewnej chwili widzę, że biegnący przede mną chłopiec z taśmą LKM-u na szyi, prawdopodobnie amunicyjny, pada na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami. Biegnę do niego. Ma ciężki postrzał w okolicy kości krzyżowej i widocznie uszkodzony kręgosłup, bo natychmiast nastąpił paraliż nóg. Podciągam go pod najbliższe drzewo. [...] Opatruję w tych warunkach może być najprostszym. Znowu ktoś ranny jęczy opodal, chcę biec do niego, ale spostrzegam, że kłęczą przy nim siostra

„Danusia”. „To Ziemia zabity — krzyczy, przebiegając „Radwan”. — Niech siostra jak najszybciej stara się brnąć naprzód”.

Oslabła od wyciągania rannych spod kul, „Nina”, biegnąca wraz „Burzą” po następnych rannych, dostrzega szeroką leśną ścieżkę:

„Burza” wstępuje w nią pierwszy i pada natychmiast. Byłam pewna, że się potknął. Nawet nie potrafiłam rozróżnić serii, która wyszarpała mu obie tętnice udowe. Krew bucha rytmicznie, zalewając mi ręce, którymi usiłuję rozzerwać spodnie i założyć opaskę. Uchodzę z niego wraz z życiem tak szybko, że aż wydaje się to niemożliwe. Usta zatracają swój wyraźny kontur, oczy matowieją. Głowa opada mu bezwładnie w tył. W rozpaczy chwytam czapkę i chlupam mu w twarz wodę z kaluży. Otrzeźwia go to na chwilę. Wie, że musimy uciekać. Rozpaczliwie stara się opanować zdobywającą go ciemność. W tej chwili nadbiega do nas „Magik” z „Murzynem” i jeszcze którzyś z chłopców. Biorą go między siebie. Chcemy odebrać mu Stena — jest przecież ciężki, ale za nic nie chce wypuścić go z ręki. „Nie oddam broni, siostrze” — szepta bezkrociwymi wargami. Nie oddał jej do końca. Wiele kłopotu miał „Magik”, zanim ją wyjął z martwej już dłoni.

Okazuje się, że ranny, do któregośmy wracali z „Burzą”, również już nie żyje. Ktoś krzyczy: „Siostrze, „Radwan” ranny!” Biegnę w tamtym kierunku. Chłopiec, który mnie miał przed chwilą, leży na ziemi z rozkrzyżowanymi rękoma i szklistymi oczyma spogląda w szarzące niebo.

Jeszcze jakieś trupy, jeszcze... I nagle strzały utraciły swój żywiołowy impet z chwil poprzednich. Czuję, że jestem już za kręgiem bezpośredniego niebezpieczeństwa. Wiem, że „Radwan”, do którego biegnę, jest tylko ranny. Zabici pozostali za nami. Zabici i ci, którzy nie przeszli. [...]

Obieramy kierunek na północ i idziemy szybko, potykając się co chwilę o czerwone druty linii alarmowych i łączności, gęsto tnących las. „Radwan” chwije się. Krew przesącza mu się przez tampon z gazy i kapie po postrzępionym ubraniu. Ale wiem, że będzie się trzymał do ostatka. Jeśli nie rozum, to instynkt każe nam przeskoczyć szosę patrolowaną przez konne oddziały Niemców. Nieomal patrzy na nas poprzez odległość, ale las kryje nas wiernie i czyni niewidzialnymi.

Dwa dni przesiedziała „Nina” w gęstwinie leśnej, opiekując się „Radwanem” i dwoma innymi rannymi, w każdej chwili spodziewając się nadejścia Niemców. Aż nagle usłyszeł wśród drzew ludzkie głosy. Ale to były słowa: „Korab”, por. „Huk”, „Murzyn”, „Sniardwy”, „Selim”, „Spadochron”, „Muniek” i jeszcze inni... Długo ich szukali po lesie i wreszcie odnaleźli.

Po wojnie Lucjan Kopeć — „Radwan” i Zbigniew Krynicki — „Korab” dokończyli studia lekarskie, a „Nina”, Janina Roguska-Bartoszewska, żona „Wira”, zrobiła magisterium z psychologii. „Radwan” osiedlił się w Lubaniu Śląskim, gdzie przez kilkadziesiąt następnych lat sprawował funkcję dyrektora tamtejszego szpitala, który unowocześnił i znacznie rozbudował. Zmarł w 1987 r. — nie na to nie wskazywało, gdy kilka miesięcy przedtem przyjechał do Lublina na pogrzeb „Wira”. „Korab” mieszka we Wrocławiu, jest na emeryturze. Przez wiele lat był dyrektorem tamtejszego dziecięcego sanatorium rehabilitacyjno-ortopedycznego. Mgr Janina Bartoszewska pracuje jako psycholog w lubelskim szpitalu w Abramowicach.

W miejscu, gdzie czterdzieści cztery lata temu wznosił się leśny „Szpital nr 665”, stoi dziś pamiętkowy kamień. Postawił go tam ludowy rzeźbiarz ze wsi Siedliska pod Józefowem Bilgorajskim, były podkomendny „Wira”. Adam Grochowicz. Ten kamień upamiętnia także życie i śmierć w boju pod Osuchami trzech sanitariuszek szpitala, niosących pomoc rannym żołnierzom — Ireny Piskorskiej, Stefani Mazurówny i Anieli Kukielki.

nią był najczęściej zawód adwokata lub dziennikarza. System rządów parlamentarnych preferował polityków posługujących się sprawno słowem, energicznych i sprytnych. Przemówienia, cięte pytania i riposty podczas posiedzeń parlamentarnych przynosiły im sławę i uznanie w społeczeństwie, informowanym i urabianym przez rozwijającą się prasę. Podzieleni na rywalizujące partie i stronnictwa, reprezentujące prawicę, centrum i lewicę, nie ustawiali w zadanie walce o wpływy i władzę oraz najwyższe urzędy republikańskie. Wypadając co kilka lat wybory do Izby Deputowanych, będącej najważniejszym forum republikańskim, aktywizowały ich szczególnie. Aby zdobyć lub utrzymać klientelę wyborczą, rozjeżdżali się do swych okręgów, przemawiali, agitowali, obiecywali, wychwalając własne osoby, atakując przeciwników. Wybuchające co jakiś czas skandale i afery spowodowały to środowisko — znające się na wyrost i wiedzące o wszystkich swoich grzechiach — do stanu wrzenia, jedni wychodzili z tyłu wzajemnych ataków i insynuacji wzmacnieni, jeszcze bardziej potężni, inni wypadali na jakiś czas z gry”.

ssami opery, teatrów, w licznych kabaletach. Swobodne obyczaje epoki poważyły tym przykłaćnym w swych mieszczaninich domach i rodzinach mężom i ojcom prowadzić bujne życie osobiste, faworyty i kochanki dodawały splendoru politykowi. Uczuleni i drażliwi na punkcie honoru, rozstrzygali najczęściej nie tylko zatargi towarzyskie, lecz także spory polityczne, za pomocą pojedynków. Wczesnym rankiem w Łasku Bułońskim lub w innych parkach Paryża często można było spotkać grupę mężczyzn w czarnych płaszczach i cylindrach, podających na męjsce honorowego starcia z pudłem z pistoletami lub szpadą pod pachą. W kilka godzin później mówili już o nich cały Paryż”.

Te ostatnie obszerne cytaty są dowodem na to, że autor biografii „Starego Tygrysa” potrafił pisać barwnie i interesująco nie tylko o pojedynczych ludziach, ale i o całych zbiorowościach. Zarówno prezentowana biografia, jak wcześniejsze prace Ślaskowskiego, o francuskiej opinii publicznej w czasie I wojny światowej, czy o Polonii we Francji, świadczą o tym, że także o „zjawiskach masowych” (opinia publiczna, zbiorowość polonijna) można pisać

z zachowaniem rygorów naukowych, a jednocześnie w sposób jasny i ciekawy, nie odstraszaający czytelnika niezrozumiałym żargonem współczesnej humanistyki. W sporze, jaki od czasu do czasu odzywa wśród badaczy przeszłości (czy historia jest nauką, czy sztuką?), piarstwo historyczne Wiesława Ślaskowskiego dostarcza argumentów zwolennikom maksymalizmu. Historia, wszak nauka o człowieku, musi łączyć rygory naukowe z walorami sztuki pisarskiej.

Historycy przywiązują dużą wagę do genealogii. Nie tylko tej traktowanej dosłownie, zajmującej się ustalaniem pokrewieństwa i powinowactwa, ale i tej, która szuka rodowodu szkół naukowych, zainteresowań i sposobów pisania o przeszłości. Przyznaje się do „mistrzów” i „mistrzów mistrzów”. Wedle tej genealogii, Wiesław Ślaskowski należy do historyków-nowożytników, których korzenie sięgają do piarstwa Szymona Askenazy, wybitnego historyka przełomu dwu ostatnich stuleci, badacza stosunków polsko-francuskich, którego prace o księciu Józefie Poniatowskim, wydana w 1904 r., weszła do kanonu polskiej klasyki historycznej, tak ze względu na walory warsztatu naukowego, jak też urodę języka.

Askenazy pisał mądrze i pięknie, z myślą o współczesnym sobie czytelniku, u którego dzieła historyczne miały budzić i kształtować zarówno emocje, jak

refleksje. Do współczesnego odbiorcy skierowane są też ostatnie zdania odautorskiego wprowadzenia w biografie „Starego Tygrysa”: „nie tylko polski wątek w życiorysie Clemenceau i brak dotąd w Polsce jego biografii skłonił autora do zajęcia się tą postacią. Tu, nad Wisłą, jesteśmy głęboko przywiązani do idei i instytucji demokratycznych. Czy nie traktujemy ich jednak niekiedy zbyt idealistycznie i abstrakcyjnie? Często też pochopnie, zbyt jednostronnie i w skrajny sposób oceniamy indywidualne kariery polityczne. Burzliwe życie i niezwykła kariera Georges Clemenceau mogą dostarczyć w tym względzie wielu refleksji i przemyśleń. Odwróćmy więc pierwszą kartę jego życiorysu”.

Do czego Czytelników „Kamery” z całym przekonaniem i odpowiedzialnością zachęcam.

Jan Lewandowski

Wiesław Ślaskowski: „Stary Tygrys”. Georges Clemenceau, Łódź 1903, Wydawnictwo Łódzkie, ss. 357.

Rozmowy z interesującymi ludźmi

Ona jest swoim ulubionym malarzem

Françoise Gilot, wieloletnia towarzyska życia Picassa, matka dwojga dzieci — Claude'a i Palomy. Jego „muza” i modelka, uwieczniona m.in. w cyklu litografii i obrazów olejnych zatytułowanych „Kobieta w polskim stroju”, powstałych w 1948 r. po powrocie artysty do Polski. Sama też jest znaną malarzką, której obrazy znajdują się m.in. w Museum of Modern Art w Nowym Jorku i Musée d'Art Moderne w Paryżu. Przybyła do Polski na otwarcie wystawy swoich prac w galerii Grażyny Hase w Warszawie.

— Jest to pani pierwsza wizyta w Polsce?

— Tak i jestem bardzo szczęśliwa, że wreszcie do niej doszłam. Miałam przyjechać tu w 1948 r., kiedy na Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju do Wrocławia zaproszono Picassa i mnie. Ja byłam w zaawansowanej ciąży — w kilka tygodni później urodziła się Paloma. Dziś właśnie mam tyle lat, ile miała wówczas Picasso.

— Podobno Picasso przybył na Kongres właśnie dzięki pani?

— On nie znośił podróży, po prostu nie cierpiał jakichkolwiek wyjazdów. Ale wtedy mu powiedziałam: do Polski musisz pojechać!

— Dlaczego?

— To dawna historia. Mój ojciec często bywał w Polsce przed wojną. Dużo mi opowiadał o ludziach, których tu poznał, o samym kraju. A jak pan wie, z Lotaryngią, skąd wywodzi się moja rodzina, był kiedyś związany król Stanisław Leszczyński.

— Jak doszło do zorganizowania wystawy?

— Poznałam panią Hase w Muzeum Picassa na wystawie fotografii jego przyjaciela Brassai. Zapytała mnie, czy nie pokazałabym w Polsce swoich prac. Oczywiście, zgodziłam się. To moja pierwsza retrospektywna wystawa litografii, a w ogóle pierwsza w kraju socjalistycznym.

— Okres pani wspólnego życia z Picassem jest dobrze znany czytelnikom tłumaczonej na język polski książki „Życie z Picassem”. W jakim stopniu ten wielki artysta „odczłonił” się na pani twórczości, czy był mistrzem, wzorem dla Pani?

— Picasso był genialnym artystą, ale to nie on miał decydujący wpływ na moje malarstwo. Pablo był Hiszpanem, był gwałtowny w tym, co robił, przede wszystkim w sztuce. Ja natomiast bardziej cenię harmonię. Harmonię barw i uczuć. Chcę, żeby moje obrazy dawały ludziom szczęście. Dlatego mówiąc o swoim mistrzu, raczej wymienię Matisse'a niż Picassa. Zresztą napiszę o tym wkrótce. Właśnie podpisałam umowę na kolejny tom wspomnień — ze mną, Picassem i Matissem w roli głównej.

— A dziś kogo pani szczególnie ceni, kto jest pani ulubionym malarzem?

— Ja jestem swoim ulubionym malarzem!

— W Warszawie oglądamy litografię i grawiurę, ale podobno woli pani duże formy.

— Tak, ostatnio maluję właściwie tylko „floatingi”, czyli płótna bez ram, malowane obustronnie, które dziennikarze nazywali „żywymi obrazami”. Mam zamiar przywieźć je do Polski w przyszłym roku. Byłyby pokazywane w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi i, być może, w „Zachęcie”.

— Co inspiruje panią do pracy?

— Sen!

— ?!

— Tak, moje obrazy najpierw mi się śnią, potem wystarczy to, co „widziałam”, przenieść na płótno.

— Portrety też? Na przykład George Sand?

— Z George Sand to co innego. Moja babcia była jej uczennicą, czytała

mi jej powieści, właściwie dzięki tym tekstom nauczyłam się czytać. Mam duży sentyment dla Sand, dlatego lubię ją malować.

— Była pani przy narodzinach kubizmu, dadaizmu...

— ...Surrealizmu.

— Czy okres wielkich kierunków minął bezpowrotnie?

— Trudno powiedzieć. W każdym razie nie ma teraz tak silnego centrum sztuki, jakim w początkach wieku był Paryż. Teraz jest też Nowy Jork, Kalifornia, Meksyk. Montmartre to już legenda.

— Dla wielu legendą jest pani.

Rozmawiał:
Zbigniew Krzyżanowski

Człowiek, który „okradł”
Indonezję

Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie obchodzi w tym roku 15-lecie działalności. Ta unikalna placówka powstała dzięki energii i uporowi jednego człowieka: dziennikarza, dyplomaty, podróżnika — Andrzeja Wawrzyniaka.

— Skąd pomysł na Azję w Europie?

— Zaczęło się od znaczków. Jestem kolekcjonerem i kiedy 40 lat temu znalazłem się w Azji, zainteresowałem się tamtejszą sztuką, kulturą. Bardzo po amatorsku zacząłem zbierać pierwsze eksponaty. Po amatorsku, bo była to — jak dzisiaj o tym mówię — sztuka „turystyczna”, „cepellowska”. Temat „Azja” zajął mi następne kilkadziesiąt lat: czytałem, uczyłem się. Kolekcjoner musi też mieć szczęście, a ono mi dopisywało, trafiłem do takich krajów i w takich okolicach, kiedy można było coś zebrać, mając minimalne zaplecze finansowe.

W rezultacie, kiedy w 1971 r. wróciłem do Polski, zorientowałem się, że kolekcja mnie przerosła. Eksponaty rozrzucone były

w kilku miejscach, źle zabezpieczone, nawet nie wiedziałem dokładnie, co mam. Pierwszy odruch to chęć utworzenia czegoś na kształt prywatnego muzeum albo galerii. Zaczęłam nawet starać się o jakieś lokum, jakieś pomieszczenie do remontu.

Pierwszą barierą okazały się finanse. Jeżeli chciałbym wyremontować odpowiedni budynek, musiałbym sprzedać część eksponatów, czyli okaleczyć kolekcję, która — jak twierdzi moja rodzina — była moim najdroższym dzieckiem. A dzieci się nie kaleczy. Chcąc utrzymać całość, można było postąpić tylko w jeden sposób: przekazać wszystko państwu z zastrzeżeniem, że kolekcja stałaby się „kamieniem węgielnym” przyszłego muzeum. I z taką propozycją wystąpiłem.

— Kto się nią zainteresował?

— Nikt. Owszem wziąć by wzięli, ale muzeum? A ja zdawałem sobie sprawę, że jeżeli moje zbiory trafią np. do Muzeum Narodowego, to powędrują do piwnic, szaf i nikt ich nie zobaczy, a przecież nie o to chodziło.

— Kiedy nastąpił przełom?

— „Nudzilem” tak długo, aż minister kultury i sztuki powołał komisję, która miała ocenić wartość moich zbiorów. Krótko mówiąc, komisja miała odpowiedzieć na pytanie: „co to właściwie jest”? Szczęście osób pracowało kilka miesięcy, najczęściej w moim domu. Okazało się, że jest to kolekcja licząca się i w porę wartości materialnej, chociaż część rzeczy w ogóle nie wyceniano, mogły być warte i 300 tysięcy, i 3 miliony.

— Jaki był werdykt komisji?

— Bierzemy! A wtedy ja postawiłem warunki: samodzielna placówka prowadząca działalność badawczą i popularyzatorską (pierwotnie tylko kręgu kultur malajskich tzw. rejonu Nusantara, obejmującego Indonezję, Malezję, Singapur i Filipiny), budynek, personel, fundusze. Ponieważ jestem człowiekiem konfliktowym, zostałem planowany dożywotnim dyrektorem, taka „powiedźmy, forma zabezpieczenia. Wreszcie zgodzono się też, żeby któreś z moich dzieci mogło przejąć placówkę po mnie.

Zrozumieć meandry polskiego życia...

Dokończenie ze str. 1

to oni biorą udział w konfliktach militarnych. Kobiety w swym pragnieniu opiekuńczym chcą chronić swe rodziny. Może dlatego jesteśmy bardziej wrażliwe na sprawy wojny i pokoju.

— Kończy się prezydencka kadencja Ronalda Reagana. Jaką spuściznę pozostawia on Amerykanom? Czy mogłaby pani skomentować krótko okres jego prezydentury?

— Ronald Reagan posiada ten typ osobowości (niektórzy posądzają go o pozę i wiąza to z jego aktorską przeszłością), który wymaga, moim zdaniem, szacunku. W okresie sprawowania władzy udało mu się przywrócić Amerykanom przekonanie, że ich kraj jest wielki. Mielśmy kilku prezydentów (choćby Nixona czy Cartera), za rządów których ludzie nie identyfikowali się ze swoim przywódcą, a także nie byli dumni z kraju, który on reprezentował. Reagan przywrócił nam uczucia dumy i identyfikacji. Trzeba także pamiętać, jak długą drogę przeszedł, jak bardzo się zmienił — od autokratycznego gubernatora Kalifornii do elastycznego polityka międzynarodowego formatu. Z drugiej jednak strony, spowodował on także niemałe trudności. Zwłaszcza w sferze gospodarczej. Obecnie jesteśmy, jak się wydaje, spychani przez Japonię na drugie miejsce w światowym handlu, utrzymuje się także nierównowaga w naszych obrotach handlowych. Sądzę wszakże, że Reagan ma nadzieję, iż jego polityczną spuścizną będą przede wszystkim układy z ZSRR o redukcji zbrojeń. Tego typu działania zdolne są zapewnić każdemu prezydentowi trwałe miejsce w historii. Takie miejsce jest więc obecnie także i jego nadzieją. Sądzę, że są to nadzieje w pełni uzasadnione.

— A co sądzi pani o Michaiile Gorbaczowie?

— To po prostu fascynujący człowiek. Jestem bardzo zadowolona, że mogę przebywać w Polsce i obserwować zza miedzy zmiany, które on zainicjował. Wydaje mi się, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu, a do tego we właściwym czasie. Czy można wyobrazić sobie większą przychylność historii? Oczywiście ma i on swoje kłopoty z gospodarką, z przekonaniem własnego społeczeństwa, by wkroczyło na drogę przemian, ma także problemy z wewnętrzną opozycją, której reakcje trudno przewidzieć. Niemniej jest typem człowieka budzącego podziw. Obserwowałam go w telawizji podczas ostatniego amerykańsko-radzieckiego szczytu i doszłam do przekonania, że to człowiek o niezwykle silnej osobowości.

— Co uważa pani za aktualnie najpilniejszą kwestię do rozwiązania w USA? Który z problemów amerykańskiego społeczeństwa budzi w pani największą troskę?

— Przede wszystkim problem ludzi, którzy wypadli poza sieć stworzoną przez państwo dla ochrony najsłabszych. Mam tu na myśli bezdomnych; żyjących na krawędzi nędzy. Środki masowego przekazu na Wschodzie często zwracają uwagę na los tych ludzi. Ja także zastanawiam się, dokąd jako społeczeństwo zmierzamy, w jakiej kondycji jest nasza etyka, nasza narodowa moralność, skoro pozwalamy tym ludziom tak bardzo cierpieć. Po drugie, martwią mnie problemy ekonomiczne. Oczywiście istnieje ogromna różnica w wyglądzie ulicy Marszałkowskiej w Warszawie i Piątej Alei w Nowym Jorku. Ostatnio powróciłam tutaj po miesięcznym pobycie w Stanach i jestem bardzo dumna, że urodziłam się Amerykanką. W USA widać na każdym kroku energię i zapobiegliwość społeczeństwa, a jeśli ktoś najwyższej ceni dobrą konsumpcyjną, znajdzie tam wszystko, czego zapragnie. A jednak równowaga wydatków amerykańskiej rodziny wydaje się za-

grożona. Sądzę, że za lat dziesięć, może nawet wcześniej, będziemy musieli ograniczyć zakupy codzienne na rzecz trwałych inwestycji.

— Jak z amerykańskiej perspektywy wygląda Europa? Czy nadal stanowi ona ważny czynnik międzynarodowych stosunków politycznych? Co Amerykanie myślą o „Starym Kontynencie”?

— Amerykanie są, w moim przekonaniu, przede wszystkim izolacjonistami. Przeciwny mieszkaniec USA nie potrafi odróżnić Francji od Polski. Wina za to ponosi nasz system kształcenia. W szkołach powszechnych nie naucza się języków obcych, historii czy geografii Europy. Tymi sprawami zajmuje się dopiero student specjalizujący się w danej dziedzinie. Nie sądzę więc, aby Amerykanie mojej generacji uważali Europę za ważny politycznie czynnik. Dla przeciętnego obywatela USA Stary Kontynent to przede wszystkim miejsce spędzania urlopu, korzystania z silnej pozycji dolara. Z drugiej wszakże strony, Amerykanie posiadają pewien image intelektualnego życia, związany właśnie z Europą. Kultura europejska jest im o wiele bliższa niż kultura innych regionów świata. To zjawisko w części naturalne. Nie można jednak zapominać, że jak wielu składowych tworzył się duch narodowy Stanów Zjednoczonych. Nie mówiąc o tradycji indiańskiej, obecne były także elementy orientalne, afrykańskie, polinezyjskie itd.

Sprawę percepcji Europy przez Amerykanów komplikuje dodatkowo fakt, że posiada ona tak wiele własnych problemów do rozwiązania. Wciąż pozostaje podzielona, a poszczególne kraje mają w istocie niewielką możliwość indywidualnego manewru. Dominacja Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego w tym rejonie wydaje się bezsporna.

A jednak pojawiają się pewne symptomy, że Europa, być może po raz pierwszy od II wojny światowej, zacznie występować jako jednolity organizm. Rozlegają się twierdzenia o „wspólnym

— Miał pan pierwsze w kraju „prywatne” muzeum?

— Miałem kłopoty. Przez pierwsze 10 lat muzeum (formalnie powstałe w 1973 r.) było bezdomne. Napierw robiliśmy wystawy u mnie w domu, potem po różnych przypadkowo wynajmowanych miejscach, aż w końcu udało mi się uzyskać te dwa budynki przy ul. Solec, chociaż nadal nie ma głównego pawilonu, nie ma stałej ekspozycji.

— Mimo wszystko muzeum działa, robicie wystawy.

— W tej dziedzinie jesteśmy totalnymi wariatami: ja co roku zapowiadam mojemu zespołowi, że kończymy z partyzantką, że otrzymujemy się do 6 dobrze przygotowanych wystaw rocznie, po czym robimy tych wystaw... 30. Do tej pory było ich 275, w kraju i za granicą.

— Jesteście znani w świecie.

— Bardziej niż w kraju! Mamy bardzo rozbudowane kontakty z zagranicą, skąd też otrzymujemy liczne dary, już ponad 2 tys. eksponatów na 12 tys. jakie posiada muzeum. Ostatni dar to replika pagody, wykonana przez wietnamskich konserwatorów.

— Czy w kraju też towarzyszy zainteresowanie waszymi poczynaniami?

— Oczywiście. Mamy już nawet stałych „klientów”, głównie osoby profesjonalnie czy naukowo interesujące się Azją. Jest też grupa „mystyków”, miłośników wschodnich religii, którym my stwarzamy klimat, wreszcie jakąś rolę odgrywa moda na „egzotykę”, która w części osób przekształca się w stałe zainteresowanie.

— Chłuba muzeum?

— Biała broń indonezyjska. Kolekcja dorównująca zbiorom białej broni w Indonezji. Miałem z tego powodu zabawne zarzuty, że podobno „okradłem” Indonezję i jestem tam „spalony”. Ciekawe, bo 4 lata temu byłem gościem ministra spraw zagranicznych Indonezji, w maju mieliśmy tam wystawę „Orient w plakacie polskim”. Jak na człowieka „spalonego”, nieźle mnie traktują.

— Czy kolekcja podzielona jest na działy, np. plakatu, porcelany itp?

— W statucie tak jest, ale życie to nie statut. W tej chwili jest to podział na kręgi kulturowe, z których największe to Indonezja, Indie, Nepal, Mongolia, Afganistan.

— Mija 15 rok działalności, co z „sukcesją”?

— Mam troje dzieci, z których dwoje to już dyplomowani orientaliści; trzeci, najmłodszy, studiuje w Indonezji.

— Czyli kłopotów z następcem nie będzie?

— Nie, bo żadne z nich nie jest tym zainteresowane; wprost przeciwnie, wierzą, że jeden wariat w rodzinie wystarczy.

Rozmawiał:

Zbigniew Krzyżanowski

I etap myślenia Odświeżanie fasady

OD DZIESIĘCIU z górą lat przejeżdżam przez miasteczko S. i za każdym razem zwracam uwagę na to samo hasło. Nie jest ono ani odkrywcze, ani zaskakujące, ani specjalnie mądre, ani zbyt głupie, ale jego dziesięcioletnia historia to lapidarny skrót choroby, która toczy nasz kraj. Oto zgrabnymi, dużymi literami koloru czerwonego (odczytuje się je dobrze z odległości dwustu metrów, oddzielających szosę od zakładu, gdzie hasło wywieszono) głosi się, że: „Pracując dla kraju, pracujesz dla siebie”. Hasło prezentuje się na ogół znakomicie, bez względu na pogodę i porę roku lśni świeżością, nigdy nie jest zakurzone ani przybrudzone, co pozwala sądzić, że nad jego korzystnym wyglądem czuwa systematycznie czyjaś ręka.

Mniej więcej pięć lat temu zauważyłem, że hasło jakby nieco wyblakło i szarzało, a z niektórych liter poczęła luszczyć się farba. Ale kiedy przejeżdżałem przez miasteczko S. następnym razem, wszystko było już w należytym porządku. Napis, odświeżony, znowu bił w oczy z dwustumetrowej odległości, jakby ktoś się bał, że niedojrzałe społeczeństwo zacznie nagle pracować tylko dla siebie, na czym niewątpliwie ucierpi pomyślność kraju. Tak sobie rekonstruowałem myślenie sprawcy owego hasła i przypomniało mi się lubelskie Stare Miasto, poddawane od lat niechlujnej restauracji, gdyż ze świeżo odnowionych kamieniczek farba odlatywała po roku, dwóch latach. Jeszcze szybciej, bo po bardziej ulewnym deszczu, robią się cacieki, farb używa się więc tam kiepskich, a i do robocizny należałoby mieć zastrzeżenia. Tego wszystkiego nie można zarzucić fabrykantom hasła, na którym farba wytrzymała dobrych pięć lat. Robota to solidna, a i materiały najprzedniejszej jakości, zapewne importowane z II obszaru za prawdziwe pieniądze.

Przeciwny widok, jako żywo przypominający naszą starówkę, przedstawiał natomiast budynek, który dźwigał owe hasło. Jest to najwykleszy barak pokryty papą. Najpierw, dziesięć lat temu, na jego elewacji widać było ciemne plamy, które po roku zrobiły się ciemniejsze, a po dwóch latach tynk odpadł i pokazały się gołe cegły. Z roku na rok dziury te robiły się coraz większe, aż wreszcie ktoś wpadł na pomysł, by wraz z restauracją hasła odrestaurować elewację.

Tak więc za kolejnym swoim przejazdem przez S. stwierdziłem, że barak odmłodził: dziury po odpadniętym tynku przemieniły się w jasne plamy, jakby położono nowy tynk i pobielono go wapnem. Gdyby mój samochód rozwijał większą szybkość, dałbym się pewnie na to nabrać. Jeżdżę jednak powolnym fiatem 126 p i moje oko odczuło w tej odnowie jakiś fałsz. Zatrzymałem się więc i podszedłem pod ogrodzenie by przekonać się, że dziury zostały jedynie zamalowane. Podałem barak bliższym oględzinom i okazało się to, co łatwe było do przewidzenia: dziury po tynku zamalowano tylko na tej ścianie,

która dźwiga hasło i widocznie jest w szosy. Dopiero w bliska dostrzegłem też oplakany stary trz. stolarki, czyli okien i drzwi, których nie odnawiano od ubrych kilku-nastu lat. A więc — normalna.

Jeszcze gorzej prezentowało się otoczenie baraku. Hasło trzymało się nieskazitelnie, ale z roku na rok rosły pod jego bokiem stopy śmieci, rdzewiały jakieś maszyny wyglądające na sprzęt do uprawy roli, wałowały się w nieładzie puste, ale i pełne worki papierowe i plastikowe, zawierające cement i nawozy mineralne. Domyślałem się (jako że brak było szyldu), że jest to jakaś firma związana z rolnictwem i chociaż trzęsło mną ze złości, nie dziwiłem się, wiedząc, że do różnych PGR-ów i SKR-ów państwo dopłaca cewite dotacje.

— Ale skąd państwo bierze na to pieniądze? Po części drukuje, toteż w kraju krąży mnóstwo pieniądza, który nie ma pokrycia w towarach i usługach. Lecz w jakiejś mierze są to także nasze wspólne, społeczne pieniądze, zapracowane przez miliony ludzi, nierządno w pocie czoła, ponieważ nawet w tak nienormalnej gospodarce jak polska dąży się do tego, żeby suma dóbr wyprodukowanych i suma pieniędzy jakoś się równoważyły. A kiedy będą się jakoś równoważyły? Ano tylko wtedy, kiedy tym, którzy pracują dobrze, zapłaci się za ich pracę mniej, niż się im należy, po to, by dać tym, którzy przychodzą do pracy, ale nie pracują bądź pracują tak marnie, że ich praca jest mniej warta niż za nią dostają. Właśnie z naszych wspólnych pieniędzy utrzymuje się te wszystkie nierentowne fabryki, kopalnie, stocznie, pegerery i eskaery, a nawet przemysł mięsny i mleczarski.

— Ale wróćmy do naszej firmy rolniczej, która zamiast orać i zbierać — jęła się roboty politycznej. Otóż nie jest ona wyjątkiem. Rolnicy z pewnej wsi opowiadali mi o miejscowej spółdzielni rolniczej, założonej tam w okresie stalinowskim. Zawsze miała deficyt, maszyny rdzewiały, pola obrabiała chwastami, krowy zjadały dwa razy tyle paszy co chłopskie, a mleka dawały dwa razy mniej, po wymłóceniu zboża i zebraniu innych plonów zwożono je prosto (niby w celu „magazynowania”) do zagród członków spółdzielni, a więc kradzież odbywała się w biały dzień i na oczach wsi. A teraz rolnik, który zdał 5-hektarowe gospodarstwo, po czterdziestu latach ciężkiej pracy dostaje kilkanaście tysięcy emerytury. Rolnik-spółdzielca, który żył dzięki państwowym dotacjom, otrzymuje emeryturę dwa — trzy razy większą. Oto konkrety: małżeństwo rolników — 25 tysięcy, małżeństwo spółdzielców z tejże spółdzielni — 70 tysięcy złotych. Różnica ogromna, więc nie dziwię się chłopom, którzy powiadają: jak ma być w Polsce dobrze, skoro złodziejom państwo płaci trzy razy więcej niż tym, co uczciwie i sami zapracowali na swoje emerytury?

W Polsce brakowało i brakuje wszystkiego, co produkuje państwowy przemysł. Cześć i chwała chłopom polskim, że mamy jeszcze co jeść. Jeżeli mądrą polityką nie zatrzyma się postępującego procesu wyludniania wsi, za kilkanaście lat zabraknie nam również żywności. Ale kiedy zapytać rolnika, dla kogo on pracuje, zrobi minę, jakby nie rozumiał pytania. Namysławiając się, odpowie niepewnie: dla dzieci, dla siebie. Co dedykuję autorom i sponsorom różnych haseł, od których nie przybył jeszcze ani jeden kilogram chleba. A wręcz przeciwnie...

AWP

europiejskim domu”, pogłębiają się procesy integracji, kontynent próbuje prezentować jednolity front wobec podstawowych problemów świata. Zwiastunem tych tendencji była bez wątpienia konferencja helsińska. Europę zamieszkuje narody energiczne i pełne inicjatywy, o bogatej tradycji historycznej i intelektualnej, nie może więc ona pozwolić, by zepchnięto ją na boczny tor wydarzeń.

— Jest pani korespondentem UPI na kraje socjalistyczne. Proszę powiedzieć, jak w tej grupie państw prezentuje się Polska? Co stanowi, pani zdaniem, naszą wyrazną specyfikę? W czym jesteśmy podobni, a w czym różnimy się od innych państw obozu?

— Polska, szczególnie w aspekcie ludzkim, wydaje się być wyjątkowym krajem w tym regionie. Łatwiej tu rozmawiać z ludźmi, łatwiej sondować opinie. Polacy są chyba bardziej romantyczni niż ich sąsiedzi, bardziej żywotni — pełni gorącego patriotyzmu. Społeczeństwo jako całość jest bardziej otwarte. Fakt, iż UPI posiada swe wschodnioeuropejskie biuro właśnie w Warszawie, wskazuje na znaczenie, jakie przywiązuje się do polskich spraw na Zachodzie, a przynajmniej, jakie przywiązuje do nich moja agencja.

Jak wiadomo, w USA żyje wielu ludzi polskiego pochodzenia (Chicago to przecież drugie co do wielkości skupisko Polaków po Warszawie). Także działania polityczne podejmowane przez wasz naród budzą zainteresowanie Amerykanów. Wszystko to powoduje, że z największą uwagą śledzimy sytuację właśnie w Polsce.

— Jak ocenia pani rolę i sytuację kobiet w naszym kraju? Co panią u Polek drażni, a co wzbudza pani sympatię?

— Moja sympatia wynika z obserwacji warunków życia w naszym kraju. Trudno mi zrozumieć, jak radzą sobie polskie kobiety. Tuż po tragedii w Czernobylu przebywałam w Wiedniu i zlecono mi napisanie komentarza do tego wydarzenia. Przyjechałam do Polski, by zobaczyć, jak wpłynęło ono na życie przeciętnej polskiej rodziny. Rozmawiałam z kobietą, która przez wiele dni trzymała swoich małych synów w pokoju o powierzchni dwadzieścia siedem metrów kwadratowych, nie znając szczegółów odnośnie stopnia skażenia ani środków

zapobiegania jego skutkom. Miała ona pretensje do rządu, że przez dwa dni nie poinformował o zaistniałym niebezpieczeństwie. Rozglądałam się po jej mieszkaniu i zrobiło mi się smutno. Zanim dokonano jakichkolwiek zmian, sądzę, że Polacy powinni poświęcić więcej uwagi uregulowaniu najbardziej podstawowych problemów egzystencji. Wciąż nie rozumiem tu wielu rzeczy. Sądzę, że potrzeba lat, by pojąć wszystkie meandry polskiego życia.

Co zaś do irytacji. Nie wiem, co mogłoby irytować mnie w zachowaniu polskich kobiet. Pamiętam tylko, jak będąc pierwszy raz w waszym kraju i nie znając jeszcze zasad rządzących kolejkami, autentycznie się zdenerwowałam, kiedy jakaś kobieta stanęła przede mną w kolejce. Dopiero później wyjaśniono mi, że miała ona to miejsce zajęte, tymczasem zaś dokonywała zakupów w innym sklepie. Może to odpowiedź oczywista, ale z takich uciążliwych drobiazgów buduje się właśnie jakość życia.

— Co, pani zdaniem, hamuje proces przekształcania się Polski w nowoczesne państwo? Którą z naszych narodowych „fobii” uważa pani z najbardziej irracjonalną?

— Główną przeszkodą wydaje mi się nierozbudzenie zasobów ludzkiej energii. Mam nadzieję, że rząd znajdzie sposoby na jej wyzwolenie. Wszędzie w Stanach Zjednoczonych spotykałam Polaków pełnych inicjatywy, znakomicie prosperujących w handlu, usługach, przemyśle. Gdyby choć część tej energii udało się spożytkować tutaj, zmiany byłyby szybkie i trwałe.

Drugim problemem, związanym zresztą w pewien sposób z tym, co powiedziałam przed chwilą, jest kwestia narodowego pojednania. Sądzę, że w jakiś sposób musi zostać odbudowana wiara społeczeństwa w poczynania rządu. Pierwszym krokiem w tym kierunku mogłaby być, jak sądzę, próba energiczniejszego wprowadzenia w życie zasad pluralizmu oraz wpracowanie metod jego funkcjonowania. Pewne działania na tej drodze już się pojawiają, ale sprawa wymaga, moim zdaniem, znacznej radykalizacji. Aby Polska stała się naprawdę nowoczesnym państwem, społeczeństwo musi współpracować z rządem. Program reform musi zostać poparty przez cały naród.

— Czym w istocie jest i jak funkcjonuje koncern UPI?

— UPI to agencja prasowa o światowym zasięgu, której głównym zadaniem jest dostarczanie informacji stacjom radiowym i telewizyjnym, a także, oczywiście, gazetom. Posiadamy około trzech tysięcy takich klientów na całym świecie. Ten typ dziennikarstwa nazwałabym „dziennikarstwem pierwszej linii frontu”. Musimy być wszędzie. Nasi korespondenci docierają do najmniejszych miejscowości, w której coś ważnego się wydarza. Agencja jest więc dostarczycielem informacji. Z drugiej zaś strony, mamy także szansę zaprezentowania własnych, indywidualnych opinii i komentarzy. Ja sama pisuję czasami „Listy z Warszawy” o tym charakterze.

— Skąd pani polsko-brzmiące nazwisko, skoro nie mówi pani w ogóle po polsku? Jakiej są (jeśli są) pani związki rodzinne z naszym krajem? Jak przebiegała pani dotychczasowa dziennikarska kariera?

— Jestem z czwartego czy piątego pokolenia Czeską. Moje rodzinne związki są więc czeskie, nie polskie. Jednak moja znajomość języka przodków jest bardzo ograniczona (polskiego tym bardziej). Moja matka mówiła trochę po czesku, ale mnie przekazała już niewiele.

Jeśli zaś chodzi o moją karierę, to zawsze żywiłam pragnienie, by pracować w Waszyngtonie i oceniać sprawy kraju z tej właśnie perspektywy. Udało mi się i spędziłam na waszyngtońskiej placówce dziesięć lat. W tym czasie zaczęłam się interesować problematyką międzynarodową. Zaprzęgnęłam zostać korespondentem zagranicznym i jakiś czas pomieszkać „za wielką wodą”. Wkrótce utwórzyłam się wakant na stanowisku komentatora w Wiedniu z zadaniem obsługiwanie krajów Europy wschodniej. W Warszawie przebywałam od dwóch lat. Ze względu na moje pochodzenie, na rodzinne źródła umiejscowione w Europie wschodniej, praca tutaj sprawia mi wiele satysfakcji i wydaje mi się bardzo inspirująca.

— Dziękuję pani bardzo za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

Królowie w niebezpieczeństwie

MICHAŁ Piekarski — który w dniu 15 listopada 1620 r. rzucił się w kruchcie kolegiaty warszawskiej na króla Zygmunta III Wazę z czekaniem i usiłował go zabić nie był ani płatnym mordercą, ani politycznym zamachowcem, lecz człowiekiem psychicznie chorym, jak to wówczas mówiono — „szalonym”.

Michał Piekarski przyszedł na świat w rodzinie szlacheckiej. Był współdziedzicem wsi Bieńkowiec w województwie sandomierskim i wsi Wodniki w powiecie łwowskim. W młodości z powodu przypadkowego zranienia głowy dostał pomieszania zmysłów. Dziwactwa i urojeń łączyły się u niego z dużą porwycością. Wskutek pogłębiającej się choroby był przez pewien czas nawet trzymany w odosobnieniu, a król Zygmunt III Waza na wniosek szwagra Piekarskiego — starosty lubaczowskiego i wielkorządcy krakowskiego Jana Płazy oraz starosty łukowskiego i podkoniuszego koronnego Erazma Domaszewskiego — ustanowił ich jego opiekunami. Płaza i Domaszewski, zagarnęszy Piekarskiemu majątek, niewiele dbali o niego. W latach późniejszych król Zygmunt III Waza wyznaczył mu nowych opiekunów — wojewodę ruckiego Jana Daniłowicza, podskarbiego wielkiego koronnego Mikołaja Daniłowicza i starostę kokenhauskiego Zygmunta Kazanowskiego, a także łowczego łuckiego Kazimierza Witowskiego i Marcina Mieliskiego.

Nienawiść Piekarskiego do monarchii za pozbawienie majątku wzmożła się pod wpływem działającej w kraju opozycji antykrólewskiej, która głośno utyskiwała na Zygmunta III Wazę, krytykując jego politykę wewnętrzną i zagraniczną oraz podnosząc faktyczne i domniemane wykroczenia władcy przeciw obowiązującemu prawu.

Piekarski, zasłyszawszy o zamordowaniu przez Franciszka Ravaillaka monarchy francuskiego Henryka IV, postanowił zabić Zygmunta III Wazę. Podobno na jakiś okres odwiódł go od tej decyzji kapłan w Częstochowie, któremu na spowiedzi wyjawił ów zamiar. Później jednak powrócił do swego zamysłu, odbywając nawet dewocyjne praktyki za skuteczność przedsięwzięcia.

Na początku listopada 1620 r. Piekarski przyjechał do Warszawy wraz z przybyłym tu na sejm szwagrem, starostą łukowskim i podkoniuszym koronnym Erazmem Domaszewskim. Po kilkudniowym poście i modlitwach, podczas których jakoby miał wizję anioła każącego mu dokonać zabójstwa króla, w niedzielę 15 listopada podjął próbę zamachu.

Totumfacki księcia Krzysztofa Radziwiła, Samuel Maskiewicz, bawiący wówczas w stolicy, pisał: „Dnia 15 novembris [listopada] w niedzielę, nazajutrz po przyjechaniu naszym do Warszawy, króla JMści [Zygmunta III Wazę] szwałk potkał w kościele [kolegiackim św. Jana] od Michała Piekarskiego takim sposobem [...] W niedzielę, jako jest zwyczaj, kiedy publicznie król JMści mszy słuchać ma, szedł do kościoła z zwyczajną gwardyją. Dwór i senat wszystek naprzód; pod ręce króla JMści dwaj biskupi prowadzili [Jan Wężyk, biskup przemyski, i Jan Andrzej Próchnicki, arcybiskup łwowski], królewicza [Władysława Zygmunta] też za królem tuż prowadzono, a pacholeta i młodź za nim. Trafiło się wchodząc w kościół, iż pismo jakiegoś nowego do drzwi kościelnych było przybite, które czytając królewicz JMśc zatrzymał się trochę, a król JMśc zwyczajnie idąc nikogo nie miał za sobą, ponieważ wszystka gwardyja, to jest alabardnicy i piechota, u drzwi kościelnych zostawszy, a pacholeta i młodź „wszystka przez królewicza JMśc zatrzymana we drzwiach, czytając to tam pismo, plac goły za królem JMścią czynili. A ten rzeczony Piekarski, utajwszy się za drzwiami kościelnymi, co się w kościół otwierają, a mając czekanie w ręku, wypadł za królem JMścią, mając plac goły i snadny przystęp, i z okrzykiem wielkim uderzył obuchem prosto w głowę królewską. Pan Bóg chciał, iż chybił w bok trochę. Potem i drugi raz poprawiwszy się nie uczynił jednak szkodliwego razu, jako chciał; król JMśc na ziemię upadł. Księża [biskupi] uciekli, króla na ziemię odbieżeli. Żołnierz jeden [Adam Kalinowski, rotmistrz chorągwi husarskiej] podniósł

króla z ziemi. Piekarskiego też tam zaraz złapano”.

Podtrzymując zranionego króla Zygmunta III Wazę pod ręce i z tyłu, poprowadzono go w głąb kolegiaty. Na to pojawił się biskup krakowski Marcin Szymskowski, który odprawiał tu mszę, i przystąpiwszy do monarchy, całował zranioną głowę, płakał i krew ocierał, dając wyraz radości, że Zygmunt III cało wyszedł z zamachu. Z kolei nadbiegło kilku senatorów, między innymi właściciel Ordynacji Zamojskiej, wojewoda kijowski Tomasz Zamoyski, który radził, aby król wrócił szybko do zamku, „bo rany mogą się zazięblić”. Natomiast biskup krakowski wstrzymywał monarchę, bojąc się jakiegokolwiek zasądzić i proponował poczekać, aż się zamieszanie w kościele uspokoi, ludzie się nieco rozjadą, a do króla przybędzie więcej dygnitarzy ze swymi sługami.

Zamach, dokonany w klimacie ogólnego przerażenia niedawną klęską cesarsko-mohylowską, śmiercią hetmana i kanclerza wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego oraz najazdem Tatarów na ziemię południowo-wschodnie Polski, wywołał w Warszawie ogromną trwogę. W pierwszej chwili gnienano nawet, że zamachu dokonali skrytobójczo Tatarzy, a ich zagony są już na Pradze pod Warszawą i przeprowadzają się przez Wisłę.

Piekarski, schwytyany na gorącym uczynku, nie wymawiał się i nie kluczył w zeznaniach, lecz natychmiast dobrowolnie wyznał, że królobójstwo planował od dawna z zemsty za pozbawienie go majątku. Na torturach potwierdził swe poprzednie zeznania. Dodał jedynie, że o zamachu wiedział jeden z jego opiekunów oraz proboszcz warszawski, co wnet odwołał. Jeszcze w listopadzie zapadł przeciwko Piekarskiemu wyrok. Specjalnie powołany sąd senatorsko-poselski uznał go winnym zbrodni stanu i skazał na śmierć, pozbawienie szlachectwa oraz konfiskatę dóbr.

Marszałek wielki koronny Mikołaj Wojski, któremu przypadło oznaczenie rodzaju śmierci i katuszy przedśmiertnych, wybrał dla niedoszłego królobójcy najokrutniejszy, pełny męk i bólu rodzaj śmierci. Postanowił, że Piekarski „naprzód z miejsca więzienia, z którego zostanie wyprowadzony, przez katedrę i jego oprawców wsadzony będzie na wóz do tego sprządnony, mając skrupowane ręce i nogi, przywiązany do wozu tak zostanie, aby postać siedzącego zachował. Zasiądzie przy nim swe miejsce kat z oprawcami, mający swe narzędzia: ogień siarczysty i rozżarzone węgle, obwożony będzie przez rynek i ulice miasta. W miejscach wyznaczonych obnażonego czterema rozpalonymi szczykami oprawcy ciało szarpać będą. Gdy na miejscu kary stanie, z wozu na rusztowanie, umyślnie wystawione, na osiem lokci od ziemi wyniesione, przeprowadzony zostanie. Tam mu kat ów czekając żelazny, którym na Najjaśniejszego Króla JMści targnął się, do ręki prawej włoży i z nim rękę bezbożną i świętokradzką nad płomieniem ognia siarczystego palić będzie. Dopiero gdy w pół dobrze przepalona będzie, mieczem odetnie, toż i z lewą ręką, bez przepalania jednak uczyni. Po czym czterema końmi ciało na cztery części roztrągane, a obrzydłe trupa ćwierci na proch na stosie dREW spalone zostaną. Na koniec proch w działo nabity wystrzał po powietrzu rozprószy”.

27 listopada 1620 r. wyrok ten został wykonany. Naoczny obserwator egzekucji pisał: „Tracono Piekarskiego takim sposobem: był prowadzony na wozie czterema końmi, na którym uczyniono było siedzenie wysoko [i temu], i katom, iż widać ich było wszystkim ludziom. Wyjechali z zamku [warszawskiego] na wał bramą, a wjeżdżając na Przedmieście Krakowskie, także z ulicy w rynek wjeżdżając i z rynku w ulicę ku Nowemu Miastu, tak na Nowe Miasto w rynek wjeżdżając, siepał go kat kleszczami rozpalonymi, a tam na Nowym Mieście teatrum było zbudowane, na które z nim wszedłszy oprawcy, pod ręce na zad zawiązane podsadzili dymnicę z ogniem, siarki weń nasypawszy, palił je mieszkami dymając; potem szedłszy z nim z góry, te cztery konie wyprzągnął z wozu, poprzywiązywał postronki do rąk i do nóg, chcąc go roztrągnąć, ale iż temu dosyć nie mogli uczynić, nacinali kat siekierą a wycinając konie, urwali mu nogę prawą. Zatem samego wzięwszy i te targane członki włożył na stos dREW i spalił”.

Wzorem do orzeczenia rodzaju śmierci i katuszy przedśmiertnych dla Piekarskiego było bez wątpienia stracenie w Paryżu w 1610 r. Franciszka Ravaillaka, zabójcy króla francuskiego Henryka IV, czemu przyglądało się kilku Polaków. Między innymi był podówczas w Paryżu i oglądał śmierć królo-

bójcy wojewodzie lubelski Jakub Sobieski, natomiast w 1620 r. przebywał w Warszawie na sejmie jako poseł.

Sobieski w swych pamiętnikach z podróży zagranicznych tak opisał stracenie Francuza: „Naprzód wiedziono go na tę uliczkę i na to miejsce, kędy króla zabił, i tam dano mu w rękę nóż zbroczony wszystek krwią królewską i tak onę rękę palił kat w ogniu z niewypowiedzianą męką jego, bo mu pierwej powoli odpadały palce, wypadł potem i nóż z ręki, za onym nożem i ostatek ręki. Potem tak zmęczonemu wieszono go parą wołów przed kościół katedralny, najprzedniejszy w Paryżu, Najświętszej Panny [...]. Tam go woźny począł obwoływać za zdracę, za zbrodniarza, za okrutnego królobójcę, który Henryka Wielkiego zniósł z świata [...]. Potem przyprowadzili go do rynku do syć wielkiego, gdzie zloczyców trąca [...]. Ciężba na onym rynku była wielka. Po dachach i po oknach była sroga rzecz ludzi, że od jednego okna ledwo do wierzenia sumę podobną dawali. Jam też był sobie z księżętą Radziwiłłami jedno okno najął i przepaliliśmy je dobrze. Ledwo tedy uczyriono miejsce dla srogiej ciżby, kędy go tracić miano. Gdy go targali końmi — umarł. Dopieroż skoczyli jako szaleni kilkadziesiąt kawalerów z koni swych i dobywszy swoich szpad, rozsiekli go prawie w sztuczki w największej wściekłości. Siła ich było, co one sztuczki ciała tego Ravaillaca, w chustki uwinąwszy, z sobą brali do domów. Był jeden intro-ligator tak zaarty przeciwko temu Ravaillakowi, a był to gospodarz na pozór stateczny, z brodą wielką, że przyniósł był kilka sztuczek ciała tego Ravaillaca i z wzgardy wielkiej i z jadu smażył je w jajeczniczy i jadł je, na co oczy moje i oczy JMści Pana Braniczkiego patrzyły. Nawet śmiał nas obydwóch prosić na ten swój bankiet, że ośmy mu go dopomogli jeść, aleśmy, w czy mu plunąwszy, odeszli od niego. Ja rozumiem, że się ten chłop od srogiego jadu natenczas wściekł był jako pies jaki. Ostatek ciała tego Ravaillaka w ogień było wrzucone, na to już nagotowany, a potem on popiół na wiatr rzucono”.

W związku z zamachem Piekarskiego na króla Zygmunta III Wazę zamknięta została kolegiata warszawska zbezczeszczone przelaną krwią. Skorzystał z tego zakon jezuitów i mimo iż budowa jego kościoła, wznieszonego tuż obok kolegiaty warszawskiej, nie była jeszcze w pełni ukończona i kościół nie był konsekrowany, przeniesiono doń czasowo nabożeństwa z kolegiaty.

Skonfiskowane dobra Michała Piekarskiego król Zygmunt III Waza nadał Adamowi Kalinowskiemu z Husiatyna, rotmistrzowi kwarcianej chorągwi husarskiej, który podniósł monarchę z ziemi, gdy upadł po uderzeniu czekaniem przez zamachowca. Przysłowie: „Plecie jak Piekarski na mękach” powstało, zdaje się, wskutek twierdzenia niedoszłego królobójcy, że to jakoby anioł kazał mu zabić monarchę.

Na początku grudnia 1620 r. spore poruszenie wywołała w Warszawie wieść o udaremnieniu jakoby nowego planu targnięcia się na życie króla Zygmunta III. Ujęto bowiem szlachcica Piotra Włoneckiego vel Jakuba Wołyńskiego vel Włyszecznego, który czynił pogroźki pod adresem monarchy, stwierdzając: „Piekarski wprowadzie chybił, ja zaś nie chybię”. W trakcie przesłuchania okazało się, że owe pogroźki wypowiadał po pijanemu, rozżalony na króla za niewyngrodenie go za lata znożnej służby wojskowej, okupionej dodatkowo ciężką niewolą rosyjską.

Postawienie przed sąd i skazanie rozżalonego na niewdzięczność królewską, zasłużonego żołnierza nie należało do wygodnych dla monarchy, zwłaszcza w czasie trwania sejmu. Stąd Zygmunt III Waza zrezygnował z zamiaru odwołania go pod sąd, pogroźki potraktował jako cześć pijacką gadaninę i ów żołnierz znalazł się na wolności. Jednakże po sejmie ponownie go aresztowano i odesłano do Malborka, gdzie uwięziono w tamtejszym zamku. Jeszcze na początku 1623 r. przebywał on w więzieniu malborskim, skąd pisał list, domagając się uwolnienia lub przynajmniej zapewnienia mu godziwego wyżywienia.

Adam Andrzej Witusik

WROKU ubiegłym Kraków otrzymał nagrodę Złotego Jabłka. To prestiżowe odznaczenie Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy Turystycznych (przyznawane co roku innemu miastu na świecie) Krakowowi, wykazującemu szczególną dbałość o swoje zabytki, z pewnością się należy. W ostatnich latach podjęto tu rewaloryzację 112 obiektów, a szybko postępujące prace dały niespodziewane efekty — dwanaście po remoncie kompleksowym oddano w tym roku.

Jabłko jak jabłko — szczególnej wartości artystycznej nie przedstawia. Wystawione na pokaz w gablocie hallu nowego hotelu „Forum” — nie robi zbyt wielkiego wrażenia wśród wielu innych bibliotek upiększających wnętrza. Natomiast z pewnością zobowiązuje. Już nie wystarczą sprawozdania na papierze i rusztowania na murze. Trzeba jeszcze pokazać, że Kraków to miasto nie tylko bogate w jedyne w swym rodzaju na świecie zabytki, ale jednocześnie niezwykle piękne. Dzięki gustowi dawnych architektów oraz swych mieszkańców jest jednym wielkim, konsekwentnie przez wieki komponowanym dziełem sztuki. Jeszcze „jest” — słowo warte podkreślenia. Czuję się to, chodząc po uroczych zakątkach, zamkniętych specjalnie projektowanymi przez budowniczych Krakowa kształtami i układami zieleni. Czuję się także, siedząc na obitych zielonym pluszem kanapach w „Jamie Michałika”, w której to kawiarni nie ma jednego zbędnego sprzętu, jednego niepotrzebnego obrazka na ścianie i nawet muzyka jest staromod-

Ekran i widz

Chłop jak dąb

ARNOLD Schwarzenegger nie posiada wprawdzie zdolności aktorskich, ale ma za to największe na świecie bicepsy. I w ogóle — muskulaturę przekraczającą daleko najmielsze wyobrażenia o tym, do czego mogą doprowadzić ćwiczenia kulturystyczne.

U jednych jego nieprawdopodobna, do granic wynaturzenia rozrośnięta sylwetka budzi odrazę, u innych śmiech, jeszcze inni patrzą w niemym urzeczeniu na to monstrualne skrzyżowanie Wyrwidęba z Wali-górą. I właśnie z myślą o tych ostatnich czterdziestoletni Austriak z Grazu, dopiero od kilku lat posiadający obywatelstwo amerykańskie, prezentuje swe ciele-sne walory na ekranie filmowym.

Niedawno oglądaliśmy go jako przerażającego cyborga w „Elektronicznym mordercy”, następnie w roli szlachetnego, lecz gdy trzeba, pozbawionego skrupułów agenta FBI w filmie „Jak to się robi w Chicago”, obecnie przysłała kolej na „Commando”, sensacyjną,

PRAWDA o naszych małych śmiesznotkach i utajonych tęsknotach nie zawsze musi pozostawać ukryta w zakamarkach jaźni. Objawiać się może czasami w zbiorowym wysiłku intelektu wszędzie tam, gdzie rzecz dotknie lokalnej dumy, nadwrażliwej ambicji, zbiorowego honoru. Z modnej niedgys książki „Przemiętło z wiatrem” utkwiły mi w pamięci dywagacje młodych georgiańskich kawalerzystów, jak nazywał dopiero co sformowany pułk. Wśród propozycji pojawiały się „pantery”, „diabły” i „niesmiertelni”. Tak to już widać jest z człowiekiem, że wszędzie tam, gdzie prawo wyboru zależy bez ograniczeń od niego, zaraz powylają jakiegoś fobie niedowartościowań, meandry myślenia na wyrost, wielkoświatowe konotacje. A efekt? Efekt jest po prostu śmieszny. I to tym bardziej śmieszny, im późniejszy gdzieś panuje duch zaścianka.

No bo choćby takie nazwy klubów futbolowych. Ileż tu aluzji ukrytych, wyborów pokrętnych, snobizmów i serdecznych pragnień! Jakież tu skojarzenia odległe, ciągoty niezaspokojone, high-lifowskie odniesienia!

Już widzę, że zbiera się grupka najznamienitszych obywateli osady, jak głowy trzeszcza od tęgiego myślenia, jak futbolisci przemierzają wąską korytarkę w nerwowym podnieceniu. Zalegają w skrzyniach nowe koszulki i świeżo

Zadyma nad Krakowem

na — nie przetworzone dźwięki, świeżo spod palców pianisty wydobyte. Czuje się to wreszcie, siedząc na rynku, w jednym z licznych kawiarnianych ogródków, otoczonych stylowymi lampami, zapalającymi się o zmierzchu.

Każdy człowiek ma prawo do kontaktu z przeszłością, ale też musi sobie zdawać sprawę z tego, że on cały czas tę przeszłość chroni. Zdarzyło się na ulicy Józefa, że budynki popadły w ruinę. Producent filmu „Noce i dnie” doszli do wniosku, że świetnie one pasują do zorganizowania pożaru w zabudowie staromiejskiej. Zgodę od władz otrzymali, pożar się odbył. Dopiero po fakcie podniesiono larum. Niektórzy nie rozumieli o co tyle krzyku. Przecież mamy całą dokumentację twierdzącą — można odbudować. Ale nie odbudowano.

Ileż takich nieprzemyślanych decyzji podejmowano przez lata. Wiele z nich stworzyło fakty dokonane. Nowa Huta stoi nie na Piaskach Korczyńskich — jak swego czasu myślano i co stanowiło najlepsze wyjście z sytuacji — a na żyznych ziemiach bliżej Krakowa, bo trzeba było zmienić strukturę zatwardziałej klasy mieszczańskiej. Konsekwencje? Przede wszystkim — duchowe niszczenie Starego Krakowa, gdyż kamienice pozabierano właścicie-

lom. Kto miał o miasto dbać? Czy ci, którzy nie czuli kontaktu z przeszłością, dla których stare rzeczy nie były ważne i chcieli budować nowe? Z drugiej strony szkody bardziej namacalne — zanieczyszczenie środowiska. Te groźne słowa materializują się w postaci chmury pyłu wiszącej nad Krakowem i opadów siarczanym deszczem.

O Błonie toczy się ciągła walka. Stanowiące naturalny przewietrznik Krakowa, zatłkane zostało częściowo przez postawienie wysokościowców. Zieleń to następny problem miasta. Tonące niegdyś w parkach i ogrodach, powoli pozbywa się jednej ze swych najpiękniejszych ozdób.

W tym miejscu nie od rzeczy byłoby przypomnieć postać doktora Henryka Jordana, bo minęło właśnie okrągłe sto lat od czasu, kiedy to wniósł on do Rady Miejskiej Krakowa podanie o przydzielenie mu terenu, który mógłby urządzić własnym sumptem jako park gier i zabaw dla młodzieży. Po wielu perypetiach otrzymał wreszcie swoje 8 hektarów, gdzie zasadził kilkadziesiąt tysięcy rozmaitych drzewek, ustawił popiersia wybitnych Polaków i urządzenia rekreacyjne. Podobne „ogródki jordanowskie” zaczęły powstawać w innych miastach Galicji, a także na ziemiach pozostałych zaborów. Stały się sławne za granicą, a Austriacy zazdrościli Kra-

kowowi „tego prawdziwie humanitarnego dzieła”, dokonane przez profesora medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Dzisiaj nie tylko o Błonie kruszy się kopie. Zniszczono Aleję Trzech Wieszczów, szeroką zieloną promenadę, zamienioną obecnie w wąski pasek zieleni. Ostatnio przy ulicy Garncarskiej trzy miejscowi właściciele garaży mają ochotę na ścieżkę 150-letniego miłośnika.

W RFN ukazała się książka „Życie z drzewami” autorstwa Alojza Bernatzkiego. Autor podaje w niej nie tyle sensacyjne, co dokładnie sprawdzone informacje: jeden stuletni buk o obwodzie 15 m i wysokości 25 m daje co godzinę 1,7 kg tleny, a pobiera 2,3 kg dwutlenku węgla, dzięki czemu umożliwia życie 10 ludziom. Żeby uzyskać ten sam efekt po wycięciu takiego drzewa, należałoby zasadzić 2700 nowych, co kosztuje obecnie w RFN około 510 tysięcy marek. Teraz wiemy przynajmniej, za co płacimy w nowych osiedlach mieszkaniowych, gdzie „zagospodarowuje” się teren, wykarczowany uprzednio pod budowę bloków.

Równolegle w Krakowie przeprowadzono badania, stwierdzające, iż w 1 litrze powietrza znajduje się 18 tysięcy szkodliwych cząsteczek stałych. Tam,

gdzie są kępy drzew, ilość tych cząsteczek zmniejsza się do około 3 tysięcy, natomiast w parkach spada do 2 tysięcy i niżej. Jeszcze w 1920 roku pisało o Krakowie jako o unikalnym mieście parków, powstały z ogrodów w naturalnym rozwoju. Dziś mamy niezrozumiałe niszczenie przyrody.

Krajobraz Krakowa najlepiej widać z dwóch punktów. Pierwszym jest wzgórze Krzemionki, na którym stoi wieża i ośrodek telewizyjny i z którego rozciąga się panorama miasta z Wawelem. Ale widać też, jak ogromny błąd popełniono, pakując w ten pejzaż dziesięciopiętrowe wieżowce, składające się na tzw. osiedle podwawelskie, oraz hotel „Forum”. Na temat tego ostatniego, rażącego jedynie zbyt nowoczesną formą, można by jeszcze dyskutować. Natomiast już na pewno nie ma o czym mówić, oglądając Kraków z drugiej strony, z fortu Pod Kopcem, gdzie wpisano w krajobraz komin i chłodnię kominową elektrociepłowni w Łęgu.

Rozważania podobne mogłyby dotyczyć w zasadzie każdej części kraju. Lublina także. Kraków jest w tej uprzywilejowanej sytuacji, że znalazł się na pierwszej, dwunastopunktowej liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO, zaś wawelski zamek oficjalnie uznano za jedną spośród ośmiu najwspanialszych rezydencji monarchów na naszym globie. Jednak czy wszyscy o tym pamiętają?

Irena Filus

nierzwykłe kasową w wielu krajach, opowieść amerykańskiego reżysera Marka L. Lestera o byłym komandosie usiłującym odbić swą córkę z rąk porwawcy.

Podobnie jak w większości filmów z udziałem „niesamowitego Arnolda”, bohater „Commando”, John Matrix, jest czymś w rodzaju mitycznego greckiego Tytana, wymierzającego sprawiedliwość. W czym służy mu pomocą cały arsenał najnowocześniejszej broni palnej oraz siecznej, używanej przez oddziały wojsk specjalnych, tajnych agentów posiadających rządową licencję na zabijanie przeciwników „słusznej sprawy”, a także gangsterów.

W filmach Schwarzeneggera role kobiece są epechnięte zdecydowanie na dalszy plan. Jeżeli nawet partnerka towarzyszy bohaterowi na ekranie przez znaczną część filmu, to nie stawia się nacisku na seks. Ma ona być wspaniałym, atrakcyjnym i wiernym kumplem rodzaju żeńskiego, z którym idzie, prawdopodobnie, do łóżka, ale dopiero później, po wypełnieniu swej niesłychanie ważnej misji, po tym, jak na ekranie zamigocze napis „The end”, a na widowni zaplona światła...

Naczelną bowiem zasadą tych filmów jest prezentacja mocarnej sylwetki gwiazdora, jego sprawności fizycznej oraz umiejętności wystrzelowania możliwie największej ilości amunicji w możliwie najkrótszym czasie. To nie filozoficzny w sposobie prowadzenia walki, osłagającej wymiar czystej sztuki, drobny, nieprawdopodobnie zręczny Bruce Lee. To brutalny, umięśniony pro-

stak, ukrywający się pod szatą „anioła sprawiedliwości”, walący za odlew kłonicy, która ma kształt zięjącego ogniem karabinu maszynowego. Góra mięśni, wyzwająca co pewien czas nagłą erupcję. Może filmy z udziałem Schwarzeneggera nie są aż tak zupełnie pozbawione pierwiastka seksualizmu?

Dla jednych pęd do kulturystyki jest czymś odrażającym, dla innych czymś wspaniałym. Dla piętnastoletniego Austriaka był to kiedyś jeden z głównych celów życiowych. Dopiero później uświadomił on sobie, że osiągnąwszy taki właśnie cel, można go zdyktować dla uzyskania dalszych, o wiele zyskowniejszych.

Kiedy Arnold Schwarzenegger miał lat dwadzieścia (w 1967 r.), zdobył po raz pierwszy tytuł „Mister Universe”. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych i zamieszkał w Los Angeles. Zdobywał kolejne główne nagrody. Pięciokrotnie był „Mr. Universe”. Zdobył tytuł „Mr. World”. Aż siedem razy sięgnął po laur „Mr. Olympia”, który to tytuł jest najwyższymi cenionym w sporcie kulturystycznym. Nie ograniczał się tylko do samego trenowania i udziału w konkursach. Został propagatorem kulturystyki, trenerem, napisał trzy podręczniki dla kulturystów, nakręcił instruktażowy film video.

Przy tym wszystkim wbrew powszechnemu przekonaniu, że „kto ma w mięśniach, ten nie ma w głowie”, skończył uniwersyteckie studia ekonomiczne, wszedł w środowisko poważnego biznesu. Dziś jest liczącym się amerykańskim przedsiębiorcą, znanym z jedną z przedstawicielek rodziny Kennedych...

Do filmu trafił Arnold Schwarzenegger w roku 1973, mając lat dwadzieścia sześć, a w kieszonki kilka już tytułów mistrzowskich z dziedziny kulturystyki Zadebiutował w „The Long Goodbye”, który oglądaliśmy jakiś czas temu w telewizji pod wiersznie przetłumaczonym tytułem — „Długie pożegnanie”. Do 1986 r. nakręcił jedenaście



Repr. Andrzej Polakowski

wał w „The Long Goodbye”, który oglądaliśmy jakiś czas temu w telewizji pod wiersznie przetłumaczonym tytułem — „Długie pożegnanie”. Do 1986 r. nakręcił jedenaście

następnych filmów. Na ekrany polskich kin trafiły trzy. Ostatnio zaproponowano mu główną rolę w amerykańskim filmie „Red Heat” („Czerwony upał”) o międzynarodowej aferze dotyczącej handlu i przemycu narkotyków, w którym część akcji dzieje się w autentycznych moskiewskich plenerach. Jako że fabuła dotyczy in. in. współpracy radzieckich i amerykańskich policyjnych ekip do walki z handlarzami narkotyków.

Co się zaś tyczy samego filmu „Commando”, w którym niepokonany John Matrix walczy z całą kompanią uzbrojonych po zęby żołnierzy, to jest to jedna z tych prymitywnych, choć pełnych dynamizmu i z wartko toczącą się akcją, historyjek ekranowych, kręconych przez dobrych rzemieślników-fachmanów na zasadzie: „zabili go i uciekli”. Nie wykracza jednak (nawet w obrębie swojego gatunku) poza poziom przeciętnego „komiksu”, tu i ówdzie rozjaśnionego racą niezłego humoru.

Daje się to oglądać dla swoistego relaksu. A trochę i dla nię zamieszanej przez reżysera, złośliwej zabawy. Ponieważ chwilami „niesamowite” sytuacje nabierają wręcz groteskowego wymiaru. Alści pewien smutek ogarnia zarazem człowieka, że — jak ktoś niedawno słusznie zauważył — znów wydano pieniądze na zakup właśnie takiego, a nie bardziej wartościowego filmu.

M.D.

Więcej luzu, panowie!

zakupione majtki, a działacze radzą: I co? I nagle — jest! Olimpiakos Tarnogród. Nikt nie ukrywa, że brzmi to dumnie i trochę jak w telewizji i że powiewa wielkim światem. Dzisiaj już trudno dociec, kto był projektodawcą tego „nektaru”, kto głosował za, a kto przeciw i ilu się wstrzymało. Może przemogło przesowskie wspomnienie z rodzinnej wycieczki pod Akropol, a może po prostu przypadkowy bruderzast z trenerem Kazimierzem Górskim?

Sąsiedzi wszakże wcale nie chcą pozostać w tyle. I oto rodzi się zaraz Ajax Wąwołnica. Czy to wspomnienie amsterdamskich kanałów, czy też może — skromniej — lektury „Iliady”?

Kiedy przeglądam wyniki i tabele drużyn szczebli najwyższych, zaraz rozpala się w sposób niekontrolowany moja wyobraźnia. Gardzę takim Motorem, albo po prostu Górnikiem, za

brak wysiłku włożonego w ideę. Doceniam Lecha, Arkę, Pogoń, Avię czy Piast. Przechodzę obojętnie obok Lublinianki, Cracovii i Warszawianki, choć już na pewno nie — obok Małkinianki. Ale serce zaczyna mi się radować dopiero przy Vitrum Wola Uhruska lub Unipol Długi Kąt. I zaraz już następuje prawdziwa feria szczęścia. Tytan Wisznice, Victoria Parczew czy też Grom Niewirków. Ileż w tym sily splendoru i lokalnej krzepy. A Palma Bodaczów, Granica Lubycza Królewska, Zadrzew Zawadówka. Ten ostatni i ten pierwsza, to przecież żywa ekologia nazewnictwa „partia zielonych”, umiłowanie natury, a może i odległe echo biblijnych namietności.

Dalej już następuje dziarsko cały świat ornitologii (Sep Zelechów, Orzeł Czemierniki czy Sokół Zwierzyniec). Bywają wszak nazwy niepojęte, jak choćby Lutnia Chotyłów czy Promień Laskarzew. Faktem przy tym jest, że dziś zdarzy się taki Bezek, Huczwa czy Paszenka, nikomu nie przyjdzie

jednak do głowy, by nazwać jakąś drużynę Wojciech Urzędów albo Rola Siemiatyże. Tymczasem w starych futbolowych annałach znalazłem Smigłęga (sic!) Wilno i 22 pp. Siedlce (i to w ekstraklasie!).

Może więc rzecz cała nie warta prześmiewcy?

A jednak, gdy zwrócę się myślą ku działaczom z Cycowa... Ale, właśnie, sza. Któżby z nas udźwignął podobną odpowiedzialność? Niech więc już po prostu, z przeproszeniem Błękit Cyców i niech dalej sobie dzielnie poczyna w grupie chełmskiej A klasy

Tak, tak, nazwać drużynę piłkarską to nieprosta sprawa. Gdyby ktoś zapragnął pójść drogą najłatwiejszą — i tu czyhają rozmaite pułapki. Jest bowiem także i drużyna Tramwajez Kowatkę. I choć w stolicy województwa (może nawet makroregionu) pierwszy tramwaj ma zadzwonić z początkiem nowego stulecia, w małej przytulnej miejscowości już śmigają po

szynach szybkie pojazdy. (Siłna musi być tam i dzielna brań tramwajarska). Gdyby ktoś z kolei chciał się teraz wycofać, napotkałby na pewno niezliczone trudności. Ostatnio Rada Ministrów zmieniła co prawda nazwę miejscowości z Trupień na Zalesie, ale procedura cała trwała ponad dwa lata. Łza się w oku kręci, gdy o tym pomyślę. Nie wiem tylko czasami, czy to iza rozbawienia, smutku czy też rezygnacji.

Powinadają o nas, że należymy do narodów zbyt „serio”; że się przystrajamy w cierpiętnicze szaty. Nie znajdzie się u nas odważny w biało-czerwonych gałach. Widziałem tymczasem dziesiątki plażowiczów z Union Jackiem na tyłku (może flaga ta ma po prostu bardziej wdzięczny wzorek?). Sprawa luzu bowiem to nie tylko chimeryczna zachcianka. To pewien styl bycia, życia i patrzenia na świat. Przydałby się on nam bez wątpienia w szarym bytowaniu. Mniej wówczas byłoby radości choćby z nieznacznie sasiada, mniej podszeptów, zażłości i nadętych buforów.

Piotr Beck

trójkąta zbrodni

- 3 -

Paweł Andrzejewski

W TYTUŁACH prasy białostockiej, która śmierci Konstantego G. poświęcała dużo uwagi, akcentowano, że „Hiroszima” znowu przypominała o sobie. „Znowu śmierć telną ofiarą pobicia na Antoniuku” — pisała „Gazeta Współczesna” w numerze z 8 maja. Białostocka popołudniówka („Kurier Podlaski”) donosiła tego samego dnia na pierwszej stronie: „Znowu śmierć z rąk nastolatków”, zaś w kilka dni później reporter „Kuriera”, Wiesław Kobyliński, opublikował spory artykuł pod tytułem „Gra w zabijanie”, w którym zarysował społeczne i obywatelstwo to tej dzielnicy, gdzie występki i zbrodnie są niemal na porządku dziennym. „W ubiegłym roku — konkludował dziennikarz — III Komisariat MO wdrożył dochodzenia przeciwko stu dwudziestu nieletnim podejrzanym o popełnienie dziewięćdziesięciu przestępstw. Dodajmy do tego „ciemną liczbę” czynów nie ujawnionych, a powstanie ponury obraz. [...] „Hiroszima” nie musi, jak Słoneczny Stok czy choćby sąsiednie Sady Antoniukowskie, pracować jeszcze na złą sławę. Ona ma ją od dawna. Ten rejon, zamknięty ulicami Antoniukowską, Gagarina i Wierzbową, nazywany jest niekiedy »trójkątem zbrodni«.

Ostatnim aktem czynności dochodzeniowych, prowadzonych przez funkcjonariuszy MO, była wizja lokalna na miejscu zbrodni. Trzej chłopcy jeszcze raz przyznali się do pobicia Konstantego G. i przedstawili szczegółowy przebieg całego zajścia. Ale każdy z nich pomniejszał swoją winę, zrzucając ją na kolegów. Ten sposób obrony, stosowany często przez uczestników bójki, okazał się na tyle skuteczny, że prawdziwy przebieg zajścia nie został zrekonstruowany ani przez oficerów dochodzeniowych, ani przez sąd. Brak naocznych

świadków, słuszną zasadą nieistnienia w naszym orzecznictwie odpowiedzialności zbiorowej oraz fakt, że wszystkie wątpliwości rozstrzygać należy na korzyść oskarżonych, stały się przyczyną wyroku, który opinia publiczna przyjęła jako zbyt łagodny. Ale nie uprzedzajmy faktów...

Jacek R. stwierdził podczas wizji, że inicjatorem zaczepki i pobicia był Andrzej B. i on też najdłużej znecał się nad leżącym już Konstantym G. Andrzej B. z kolei upierał się, jakoby prowodyrem był właśnie Jacek, który do bicia używał kółka. Mirosław A. niewiele miał na ten temat do powiedzenia, ponieważ na samym początku zajścia rzucił się wraz z Czesławem Z. w pogoń za uciekającym Franciszkiem M. Kiedy wrócił po kilku minutach, Konstanty G. leżał już bez ruchu na ziemi, a nad nim, z kółkiem w ręku, stał Jacek R. Zapytany, w jakim celu gonili Franciszka M., odparł z rozbijającą prostotą: „Goniliśmy go, aby złapać i pobić, bo taki był nasz zamiar”.

Być może wątpliwości co do prawdziwego przebiegu zajścia rozwiałaby zeznania czwartego uczestnika bójki, Czesława Z., notabene jedynego, który ukończył 17 lat i według prawa traktowany był jako pełnoletni. On jednak wciąż się ukrywał, posiadając zapewne spory zapas gotówki ze sprzedaży matczynej biżuterii.

W tym stanie rzeczy akta trzech nieletnich przestępców przekazane zostały do Wydziału III Rodzinnego i Nieletnich w Sądzie Rejonowym w Białymstoku, który przejął dalsze postępowanie. 6 maja chłopcy zostali „wysłuchani” (nieletnich nie przesłuchuje się, lecz wysłuchuje) przez sędzinę Lidję Hordyńską, po czym umieszczono ich w schronisku dla nieletnich. Od tego momentu to-

czyć się będą dwa odrębne procesy: nieletnich Jacka R., Andrzeja B. i Mirosława A. oraz pełnoletniego Czesława Z., który dwa tygodnie później zgłosił się sam do III Komisariatu MO.

Kiedy chłopcy przeszli spod kurateli matki pod opiekę sądu dla nieletnich, poczuli się na tyle pewnie i bezpiecznie, że zmienili zeznania. Jacek R. i Andrzej B. powiedzieli sędzinie Hordyńskiej, że do przyznania się zostali nakłonieni przez przesłuchujących ich funkcjonariuszy milicji. W istocie — zeznali — nie było ich w miejscu zajścia, nikogo nie bili, a o całej sprawie wiedzą od milicjantów. Jedynie Mirosław A. podtrzymywał poprzednie wyjaśnienia. Nie kłamał, nie kręcił, był przestraszony tym, co się stało, i szczerze żałował, że tamtego feralnego dnia w ogóle wychodził z domu.

Zdaniem sędziów zajmujących się tego rodzaju sprawami, przypadek Mirosława A. jest typowy dla prawie połowy nieletnich, którzy popadają w konflikt z prawem. Najlepszym określeniem byłoby tu słowo „przypadek”, gdyż właśnie przypadek sprawił, że ten szesnastoletni chłopiec znalazł się w sytuacji, która wzięła nad nim górę. Zanim drobna, blaha utarczka słowna przerodziła się w bójkę, do której wyraźnie parli jego koledzy, nie miał on zamiaru nikogo bić ani gonić. Można przypuszczać, że jego pogoń za Franciszkiem M. nie była spowodowana chęcią dogonienia i pobicia mężczyzny. Mirosław A. uciekał raczej od rzeczywistego miejsca zbrodni, jakby w nagłym przeblasku intuicji przeczuwał, że powinien się oddalić. Ten ułamek sekundy, kiedy zdecydował się gonić, aby nie zostać przy Konstantym G., był może odruchem samoobrony, jedynym, na jaki umiał się zdobyć w tej wyjątkowej dla siebie sytuacji.

To przypuszczenie znajduje potwierdzenie w wynikach badań psychologicznych, którym poddano chłopca w zakładzie poprawczym. Po przeprowadzeniu wielu testów i rozmów dwójka psychologów doszła do wniosku, że Mirosław A. związał się z grupą przestępczą „przed wszystkim z obawy przed konsekwencjami ze strony środowiska w miejscu zamieszkania”. Ten młody chłopiec przejawia „wyraźne symptomy postawy lękowej i pewne opóźnienie rozwoju społecznego”. Kłopoty w szkole, zrazu niewielkie w klasach V i VI, pogłębiły się w klasach VII i VIII. Wtedy też zaczął palić papierosy oraz pić wino i piwo. Psychologowie twierdzą, że były to pierwsze poważniejsze objawy szukania rekompensaty za niepowodzenia: Mirosław związał się z grupą przestęp-

Trockiego walka o władzę

Dokończenie ze str. 4—5

Podkreślał niebezpieczeństwo, jakie dla Niemiec i Europy może mieć przewrót hitlerowski w Niemczech. Krytykując socjaldemokrację i jej prawicowych przywódców za współpracę z kapitałem, odrzucał jednak koncepcję „socjal-faszyzmu”. Wypowiadał się również za współpracą Komunistycznej Partii Niemiec z Socjaldemokratyczną Partią Niemiec celem przeciwstawienia się ofensywie faszyzmu w Niemczech. Jednakże za cel tej współpracy uważał nie utrzymanie i maksymalną rozbudowę burżuazyjnej demokracji w interesie ludu, co umożliwiłoby stworzenie rzeczywiste szerokiego frontu antyfaszystowskiego i utworzyłoby masom pracującym drogę do dalszych walk wyzwolenczych, lecz dokonanie z miejsca rewolucji socjalistycznej i obalenie rządów burżuazji.

Trocki zmarł 21 sierpnia 1940 r. w Meksyku na skutek ran zadanych mu przez zamachowca Ramona Mercadora. Okoliczności tego zamachu nie zostały nigdy w pełni wyjaśnione. Wiadomo, że zamachowiec był Hiszpanem i podawał się za trockistę. Jako powód swe-

go czynu podał wystawny tryb życia Trockiego oraz propozycję, złożoną mu rzekomo przez tego ostatniego, zorganizowania zamachu na Stalina.

Wyjaśnienie to budziło i budzi nadal poważne wątpliwości. Dość rozpowszechniony jest np. pogląd, iż Ramon Mercador był agentem OGPU. Jako argumenty przemawiające za tą wersją podaje się fakt, iż po wyroku skazującym Mercadora na 20 lat więzienia otrzymał on od władz radzieckich Order Bohatera Związku Radzieckiego. Sugeruje się też za prasą zachodnią, że po uwolnieniu w 1960 r. z meksykańskiego więzienia Mercador przybył do Związku Radzieckiego. Później miano go widywać w Pradze, gdzie podobno osiedlił się i pracował jako mechanik radiowo-telewizyjny.

Tak więc w niezbyt jasnych okolicznościach zakończył swe życie, bujne i kontrowersyjne, Lew Trocki. Bez wątpienia jedna z największych i najbarwniejszych indywidualności w historii Związku Radzieckiego. Inteligentny, bardzo ambitny, świadomy celu, do któ-

rego zmierzał. Chciał być kimś. Pragnął, by się z nim liczone. Nie uznający autorytetów, nigdy nie godził się na pozostawanie w cieniu innych indywidualności. Nawet opinia, że jest „drugim” po Leninie, nie zadowalała go. Inni byłiby nią zachwyceni, ale nie Trocki. Tym bardziej nie mógł się pogodzić z dominacją Stalina, tej „przejętości”. Stoczył więc z nim walkę o władzę w państwie radzieckim. Przegrał ją, przede wszystkim zresztą z własnej winy. To nie Stalin okazał się wówczas tak silny, to raczej Trocki popełnił zbyt wiele błędów taktycznych. Mimo więc, że część jego zarzutów wysuwanych pod adresem przeciwnika była słuszną, nie zyskał Trocki poparcia większości partyjnej. Stało się tak głównie dlatego, że atakując Stalina, zaatakował cały aparat partyjno-państwowy. Podważył dotychczasowy dorobek państwa radzieckiego, a więc także dorobek Lenina, ale też swój własny wkład oraz wspomnianej większości partyjnej. I ci właśnie działacze, często nie zgadzający się ze Stalinem, w tym przypadku poparli tego ostatniego przeciwko wspólnemu przeciwnikowi.

Leszek Piątkowski

Rehabilitacja działaczy bolszewickich

Jak poinformował dziennik IZWIESTIA, Sąd Najwyższy ZSRR zrehabilitował 13 VI br. 33 czelowych działaczy bolszewickich, którzy popadli w nielaskę i zostali straceni w wyniku procesów pokazowych w latach trzydziestych. Sa wśród nich m. in. Grigorij Zinowiew, Lew Kamieniew, i Karol Radiek. Jak stwierdzono w komentarzu IZWIESTIA, zatytułowanym „Powrót do prawdy”, obecnie jasne jest, że zrehabilitowane osoby nie były wrogami i że z punktu widzenia prawa, państwa czy narodu nie ponosiły one żadnej winy.

Artykuł IZWIESTIA, napisany przez jej korespondenta sądowego, Jurija Fieofanowa, podkreślał, że być może skazani naruszyli leninowskie zasady, tworząc opozycję, za grzącą władzę Stalina. Jednakże osoby o innych poglądach należy wysłuchiwać, a nie likwidować. IZWIESTIA zaznaczyły, że w trakcie procedury rehabilitacyjnej sąd nie dyskutował nad „partyjnym obliczem” skazanych i nie oceniał tego, czy ich poglądy były słuszne, czy też nie.

Zdaniem agencji AP, gazeta dała do zrozumienia, iż rehabilitacja Zinowiewa, Kamieniewa i Radka miała na celu przekonanie obywateli radzieckich, że nie będą oni karani za wypowiedzanie swych poglądów politycznych. „Uczymy się demokracji, udo-

skonalając zasady dyskusji politycznych, także w czasie twardziej walki” — stwierdził artykuł IZWIESTIA, który ukazał się w czasie gwałtownych dyskusji, poprzedzających krajową konferencję partyjną.

Jak zaznaczyła agencja REUTERS, w trakcie przemówienia, wygłoszonego w listopadzie ub. r. z okazji 70-lecia rewolucji październikowej, Michail Gorbaczow skrytykował Zinowiewa i Kamieniewa. Stwierdził wówczas, iż pod koniec lat dwudziestych niektórzy rewolucjonisci zademonstrowali swą „drobnomieszczańską naturę”, stawiając swe własne interesy ponad interesami państwa. Gorbaczow wymienił w tym kontekście Trockiego, którego w jego niewłaściwych poglądach wspierał Zinowiew i Kamieniew.

Prawda zmyślenia

JEŻELI „babciu, przeczytaj mi bajkę”, to „autorze, napisz ją”. W ten sposób zajęcie pisarskie spotyka się z czynnością usługowo-rozrywkową, co je w kategoriach artystycznych sytuacji w sposób problematyczny. Nie bez powodu o tym wspomnieć, bo wciąż jest aktualna kwestia: czy literatura dla dzieci jest literaturą po prostu? Jeżeli weźmiemy przykłady Galczyńskiego, Tuwima, Leśmiana, a nawet (nawet, boć przecie katastrofista) Czechowicza, który o prócz twórczości „prawdziwej”, czyli „dorosłej”, uprawiali pisarstwo dla dzieci, nie obniżając tonu, to powiemy, że to drugie musi się znaleźć w konwencji dostępnej kilkuletniemu umysłowi, ale co do poezji, to ta zmniejszeniu nie ulega i poezjka, mimo deminutivum w nazwie, nie jest czynna od poezji mniej poważnym.

I tak się pisarstwo dla dzieci tymi nazwiskami nobilituje. (Majakowski jest tu przykładem oddzielnym. Jego wiersze dla dzieci są wierszami dla dorosłych, tyle tylko, że by je odczytać, trzeba wywołać w sobie nastroje i mentalność z dzieciństwa). Nawet kiedy zachodzi szwank w osiągnięciu artystycznym, tłumaczymy to potrzebą dostosowania się do pojęć niedorosłych, a także względnością naszego sposobu widzenia, który niekoniecznie musi się zgadzać z percypowaniem dziecka.

W każdym razie jest ta dwojakość autorskiego podejścia: albo zamiar dopełnienia artystycznej wypowiedzi językiem „naiwnym”, „przedintelektualnym”, więc poetycko godnym uwagi, albo skorzystanie z wydawniczej i krytycznej passy, skoro ten typ pisarski znajduje teraz tak widoczną preferencję. Gdzie umieścić Zbigniewa Brzozowskiego „Kilka ezarodziejskich historii”? To pytanie nasuwa się na zasadzie stosunku do zjawisk obecnego rynku i wolno by je uznać za wystarczające, gdyby nie pewna właściwość tej książeczki, która domaga się innego klucza. Nie można powiedzieć, że jest ona aneksem do twórczości dla

czą, ponieważ tam został najszybciej zaakceptowany i uznany za „swojego”. Chłopiec nie jest całkowicie zdemoralizowany. Ma świadomość, że wybrał źle, i tęskni do normalnego życia. Jednakże, pozostawiony samemu sobie, nie potrafi rozwiązać własnych problemów, gdyż cechuje go neurotyczny „brak zdecydowania oraz osłabienie wiary w siebie i swoje możliwości”, co powoduje „wzmogłą drażliwość na punkcie własnej osoby”.

Tego typu osobowości łatwo ulegają presji środowiska — w pierwszym rzędzie z tego powodu, by nie być powtórnie odrzuconym (najpierw odrzuciła go szkoła) i nie zostać definitywnie samym. Jest to bardzo ważny moment w kształtowaniu się charakteru przyszłego przestępcy. Jeśli bowiem wyrobi on w sobie przeświadczenie, że normalny świat jest przed nim ostatecznie zamknięty, proces demoralizacji zaczyna postępować błyskawicznie. Po bezskutecznych wysiłkach osiągnięcia sukcesów w szkole i w domu, chłopiec kieruje swoją energię psychiczną ku światu, który go akceptuje i przyjmuje z otwartymi rękoma. Zaś świat normalny, który go odrzucił i upokorzył, staje się odąd przedmiotem agresji.

Zdaniem psychologów, Mirosław A. jest jeszcze na samym początku tej drogi, toteż „resocjalizacja ma pełne szanse powodzenia”. Ale szanse te będą znacznie mniejsze, jeżeli chłopiec pozostanie w dotychczasowym środowisku. „Dzielnica, w której nieletni zamieszkuje, stanowi tło częstych, nadzwyczajnych wydarzeń. Jest to środowisko, w którym występuje szeroki wachlarz odmian patologii społecznej, liczne kradzieże, włamania do mieszkań, piwnic, sklepów i samochodów. Sąsiedztwo „Kręgu Tanecznego” [potoczna nazwa knajpy, gdzie odbywają się codzienne dyskoteki — P.A.] stanowi okazję do zbierania się różnej młodzieży, w tym mocno zdemoralizowanej i zdeprawowanej. Otoczenie tego obiektu jest często areną ekscesów pijanej młodzieży. Meliny pijackie, prostytutka są tu notorycznymi zjawiskami”.

Jak więc uchronić chłopca przed dalszą demoralizacją? Rodzice Mirosława A. są zrozpaczeni i bezsilni, ponieważ ich starania, aby wynieść się z „Hiroszimy” i odciąć syna od złego wpływu miejscowego środowiska, były dotąd bezskuteczne. Nie jest w Polsce łatwo zmienić mieszkanie, nawet kiedy przemawia za tym interes społeczny. Czyż trzeba przekonywać, że Mirek będzie miał większe szanse na powrót do normalnego życia, jeżeli zmieni otoczenie i szkołę? Okazuje się, że tak. W swoich staraniach o zmianę mieszkania państwo A. nigdzie nie znaleźli sojuszników, ponieważ mówiono im: „Są ważniejsze sprawy”.

Jacek R. i Andrzej B. byli zdemoralizowani w znacznie większym stopniu, dlatego ich zachowanie przed sędzią dla nieletnich łatwo wytłumaczyć. Kiedy dochodzenie prowadzili oficerowie MO, chłopcy przebywali w areszcie milicyjnym, gdzie poddano ich takim samym rygorom jak dorosłych przestępców. Jak każda policja na świecie, także i nasza ma swój styl pracy i rutynę, wynikającą z długiego doświadczenia i osobistych nawyków funkcjonariuszy, kształtowanych przez częste stykanie się z występkiem i zbrodnią. Jacek i Andrzej byli więc traktowani przez milicjantów jak recydywiści, wobec których należy stosować te same metody nacisku psychologicznego, jakie stosuje się wobec zatwardziałych przestępców. Młody człowiek czuje zatem przed milicją głównie strach, który paraliżuje jego wolę obrony. Jest to ciekawe zjawisko psychologiczne. Nie notuje się bowiem przypadków, aby nieletni przestępca odmówił składania wyjaśnień przed milicją, co zdarza się mu podczas rozprawy sądowej.

Przejście pod jurysdykcję sądu dla nieletnich łączy się przede wszystkim z opuszczeniem celi aresztu, jest więc jakąś namiastką powrotu na wolność. To rozluźnienie rygorów powoduje, że młody przestępca znowu czuje się pewny siebie. Dodać do tego należy, iż aparat sędziowski w Polsce opanowany jest w znacznej mierze przez kobiety, co szczególnie dotyczy sądownictwa dla nieletnich. Rzadko która kobieta potrafi wzbudzić lęk w kilkunastoletnim młodzieńcu, ponieważ widzi w nim istotę zablakowaną, zagubioną i wle, że za jego postępek winię trzeba najpierw dom, szkołę, środowisko i wiele innych czynników, które kształtują młody charakter. Najczęściej kobieta-sędzia jest także matką, dlatego pragnie ona w pierwszym rzędzie pomóc zagubionemu chłopcu, a nie tylko karać w surowym majestacie prawa. I tak być powinno. Sąd nie może stanowić przedłużenia policji, która ma być szybka, twarda, a kiedy trzeba — także bezwzględna. I ci kilkunastoletni chłopcy już o tym wiedzieli. A jeżeli nawet nie była to w ścisłym znaczeniu wiedza, to na pewno intuicja, która podpowiedziała im, że teraz — przed sędzią — można bezkarnie kłamać.

Sędziowie i psychologowie uważają, że przestępca, który kłamie, rokuje już niewielkie nadzieje na powrót do społeczeństwa. Człowiek posiadający zdrową konstrukcję psychiczną zachowuje się bowiem inaczej. Jeżeli popełni zło, przynajmniej go poczucie winy i chęć zadośćuczynienia. Przyznaje się, a nawet podświadomie dąży do sytuacji, w której zostałby ukarany. Kara oznacza w tym przypadku, że człowiek zostaje na powrót

przyjęty do społecznego świata: jego wewnętrzna zgoda na karę jest zatem równoznaczna z tym, iż akceptuje społeczną hierarchię wartości.

Ucieczka przed odpowiedzialnością stanowi natomiast symptom głębokiej deprawacji osobowości. Kłamstwo sygnalizuje, że więź łącząca przestępcę z światem społecznym uległa zerwaniu. Tego, co uczynił, nie uważa on za zło, ponieważ nie akceptuje wartości, którym się w ten sposób przeciwstawił. Jest już człowiekiem uznającym nad sobą zwierzchność etosu przestępczego, dlatego jedyną jego myśl to obrona przed karą.

Na szczególną uwagę zasługuje w tym aspekcie osobowość Jacka R., najmłodszego spośród czwórki napastników, ucznia szkoły podstawowej, który w chwili popełnienia przestępstwa nie miał jeszcze piętnastu lat. Rodzice przyznają, że kłopoty z synem zaczęły się rok temu. Jacek nie chciał się uczyć, często wagarował, toteż ojciec lub matka odprowadzali go do szkoły. Kary były zupełnie bezskuteczne, ale nie skutkowały także zachęty. Jacek dostał w prezencie motocykl, w niczym to jednak nie zmieniło jego postępowania.

Z kwestionariusza testów psychologicznych wynotowaliśmy następujące uwagi: „Badania systemem Eysencka ujawniły, że osobowość chłopca rozwija się w kierunku przewagi cech ekstrawersji przy znacznie podwyższonym poziomie neurotycznym. [...] Najsilniej w tej chwili zaznacza się tendencja do emocjonalnej (nieracjonalnej) obrony własnego »ja« poprzez selekcję uczuć i emocji, pozorną »niewzruszalność« w przekonaniu, że okazywanie czy doznawanie uczuć ciepłych, miękkich jest mało dojrzałe, naraża »ja« na odrzucenie i ośmieszenie. Silna potrzeba przynależności i obawa przed odrzuceniem przez osoby, na których akceptacji mu zależy. Zmniejszona odporność psychiczna, podatność na stany lękowe. Poważne zagrożenie demoralizacją. Nieskuteczne lub niewłaściwe oddziaływanie wychowawcze może doprowadzić u chłopca do zaburzeń sojopatycznych”.

Jacek R. i Andrzej B. nie przyznali się przed sądem do winy. Na rozprawie pod przewodnictwem sędziny Lidii Hordyńskiej stwierdzili, iż przyznali się wcześniej do pobicia Konstantego G. Jedyne dlatego, że byli bici przez funkcjonariuszy MO, którzy prowadzili dochodzenie. „Protokoł podpisałem, bo jest mi życie mile. Grożono mi pobiciem, nawet mnie pobito”. „Zeznania składane w komisariacie były wymuszone przez przesłuchującego. Byłem wówczas bity”. To tylko niektóre stwierdzenia, z jakich pomocą chłopcy bronili się przed sądem.

Czy rzeczywiście byli bici przez milicjantów?
(Dokończenie nastąpi)

dorosłych, nie można też — ze świadectwem wymanipulowanego, choćby nawet fortunnego pisarstwa, podchwycenia tematycznych i stylistycznych aktualności. Są w tekście znamiona świadczące, że nie jest on skierowany do redaktora pod płaszczykiem adresu do dzieci, istnieje wiele odniesień do młodego czytelnika uczynionych — da się to wyczuć — bez pewności, czy dialog z dzieckiem nie zostanie potraktowany za prowadzony „nad głową” wydawcy.

Jednym z tych znamion jest... anachronizm scen i sytuacji. Anachronizm w nieujemnym tego słowa znaczeniu. Przynależnym bajce, a więc gatunkowi wprost ponadczasowemu, skoro istnieje już dwadzieścia sześć wieków (Ezop). Więc wiatrak, więc krupy w worze, więc wójt (nie naczelnik gminy). Gdzie to dzisiaj? Ano w bajce, czyli Brzozowski pełną garścią czerpie z przywilejów gatunku, nie krępując się realiami doraźnej aktualności, skoro ma licencję omijać nawet prawa, prawidłami i prawdziwością życia dla osiągnięcia ponadrealistycznej, baśniowo-poetyckiej wymowy. Chodzi o to, żeby się stało zadość potrzebie wyjaśniania świata w kategoriach piękna, dobra i — przeciwieście spotykanej nawet w najmateriałniejszym wymiarze — niezwykłości, a nieważne, czy koza potrafi przemawiać ludzkim głosem.

(Nawiasem dodajmy, że ta koza powinna mieć pretensję do autora. To ona biednemu młynarzowi poradziła, smigi wiatraka smarować jej mlekiem, bo wiatry kozie mleko lubią, i ciągle działała na rzecz pomocy swemu opiekunowi, a właściwie podopiecznemu. Okazało się jednak, że jest diabłem, bo była czarna. Panie autorze, to pańska czarna niewdzięczność).

Co jednocześnie zaskakuje w książeczce Brzozowskiego: częste bezpośrednie zwroty do czytelnika. Jakby

odejście od fikcji ku rzeczywistej sytuacji: ja to napisałem, a ty właśnie czytasz. I rzecz dziwna, to wcale nie powoduje deziluzjonizacji. Jakby na zasadzie zawartej z czytelnikiem umowy, według której napisany tekst nie jest produktem wydawnictwa, drukarni i kolportażu, ale mową o rzeczach, jakie się autentycznie zdarzyły. Niezależnie od szczegółów otoczenia, które wyświetlaniu tego filmu, a właściwie projekcji samej rzeczywistości, towarzyszą. Rzeczywistości, bo ta fantastyczna wcale rzeczywistością być nie przestaje.

No i moral. To pojęcie z bajką jest związane już na zasadzie prawidłowości logicznej, terminologicznego zrostu. I tu następczalboby się takie sformułowanie, że owszem, ten moral jest, ale nienachalny, dyskretny, podrzycony jakby samodzielnemu domysłowi czytelnika. Tak, o takim morale w „Kilku czarodziejskich historiach” da się powiedzieć. Ale co jeszcze bardziej niuansowego: Brzozowski nawet w tym postępuje z rezerwą, jakby z założenia, że samo wprowadzenie w świat fantastyki, a więc piękna, czyni lepszym i już kropka nad „i” nie jest potrzebna. Nie potrzeba wskazywać palcem. Jeśli samo dziecko zechce postępować jak kogutek, który piał, domagając się zwrotu skradzionego z czarowanego kubka, jak Majowy Wiatr, który zasmucił się tym, że przez nieuwagę zerwał z głowy Jadwisi chusteczkę — niczego dodawać nie należy i taką samoczynnie powstającą wymową każda powiastka tej książeczki się kończy. A jest to jeden z ciekawszych, jeden z istotniejszych dialogów nawiązanych przez dorosłą literaturę z niedoroslą czytelnikiem.

Zygmunt Mikulski

Zbigniew Brzozowski: *Kilka czarodziejskich historii*, Warszawa 1988, Nasza Księgarnia, ss. 86.

Listy do Kameny

W numerze „Kamery” z dnia 15 maja 1988 r. ukazał się obszerny artykuł Ireneusza J. Kamińskiego z okazji XXV-lecia praw miejskich Nałęczowa „Duchy Nałęczowa”. Z dużym zażenowaniem przeczytałam fragmenty poświęcone Prusowi przez autora artykułu — laureata nagrody im. Bolesława Prusa, Zastanowia, skąd tak lekceważący stosunek autora artykułu do autora „Płacówki”, a nawet uznanie za przesadne i nieuczynne kulturowanie jego pamięci w Nałęczowie.

Należy chyba zażądać, że pisząc o Prusie, oparł się I. J. Kamiński na opinię wywołującego się z Nałęczowa Michała Tarki, który dla Nałęczowa „zrobił coś konkretnego” — zebrał wiadomości o historii Nałęczowa, które w formie książki po prawie dwudziestu latach tułaczki po wydawcach podjęło się wydrukować Towarzystwo Przyjaciół Nałęczowa.

Może lepiej było sięgnąć do opinii profesorów, którzy przez długie lata przekopywali sterty dokumentów, odbyli setki rozmów z ludźmi, którzy spotykali Prusa w Nałęczowie, i to po to, aby w oparciu o źródła udokumentować związek Prusa z Nałęczowem (nie mówiąc o jego zasługach dla społeczeństwa). Właśnie oni informują m. in., dlaczego Kapiele Tanie, przeznaczone dla nałęczowskich rzemieślników i włościan, nazwano imieniem Bolesława Prusa, a także — dlaczego po śmierci pisarza rozpoczęli nałęczowianie zbliżać się do budowy pomnika autora „Lalki” (wystarczyło tych środków jedynie na umiarkowanie tablicy w ścianie Pałacu Malachowskich). Czyż nie byli przekonani i nie pamiętali o zasługach Prusa dla Nałęczowa?

Dlaczego więc prace dziennikarskie Bolesława Prusa, z którego zdaniem tak bardzo liczyli się polskie społeczeństwo, a który opiewał uroki Nałęczowa i zachęcał do koryztaństwa z usług rozwijającego się Zakładu Leczniczego, przysparzając letnikom, nie są „czymś konkretnym”? Czy Nałęczow mógł sobie wymarzyć lepszą reklamę niż kroniki Bolesława Prusa (zachęcam p. Kamińskiego do ich lektury). Kroniki tygodniowe Bolesława Prusa są do dziś źródłem informacji o Nałęczowie sprzed lat — często bardzo szczegółowych.

Gdyby Redaktor wstąpił do jedynego w kraju Muzeum Bolesława Prusa, zlokalizowanego w samym centrum Nałęczowa — aż trudno je ominąć! — dowiedziałby się, że zainaugurowany w 75- rocznicę śmierci Bolesława Prusa — propagatora i entuzjasty sportu rowerowego — RAJD ROWEROWY „Śladami BOLESŁAWA PRUSA” odbył się także i w tym roku (sam Prus mimo agorafobii też jeździł wycieczką). Dowiedziałby się Redaktor, że w br. brała w nim udział młodzież nie tylko z Nałęczowa, wyruszając w dniu rocznicy śmierci pisarza (19 maja) z miejsca urodzenia, tj. z Hrubieszowa, 4 z Warszawy, gdzie w tym dniu złożono kwiaty na grobie autora „Płacówki”. Na spotkaniu u celu, tj. w ulubionym Nałęczowie (ulubionym przez Prusa i przez młodzież), uczestnicy popisywali się wiedzą o życiu i twórczości Bolesława Prusa, opowiadali, w jakim stanie znajdują się pamiętki po nim, a także opowiadali, czy łatwo te pamiętki odnaleźć.

Czy na śart tylko zastuguje przypomnienie o Prusie — plewicy sportu, autorze „Ze wspomnień cyklisty” oraz „Jeden z cudów epoki, która nie wierzy w cuda”? Rower — odkryty na nowo — przeżywa okres ponownej świetności — rozwija tężyznę fizyczną, pozwala umiłowac piękno ojczystej ziemi.

Gdyby Redaktor wstąpił do muzeum, dowiedziałby się, że „Lalka” nie powstawała w „Palacowej”, lecz w salach, gdzie pamiętki po Prusie ogląda kilkudziesięć tysięcy rodaków rocznie.

Trudno bronić kolegom p. I. J. Kamińskiego, aby nie pisali, że Pałac Malachowskich niejednokrotnie gościł Bolesława Prusa, że tu powstawała także „Płacówka”, oparta na lubelskich realiach. I trudno się też dziwić, że lubią piwo.

A może liczą na pomoc „Ducha” Bolesława Prusa, któremu nieobcy był temat i piwa, i roweru, a także kumysu, o którym (a nie o piwie) pisał w kronikach tygodniowych, reklamując jego zalety dla zdrowia nałęczowskich letników...

Pomimo to, w roku jubileuszowym nałęczowskiego jubileuszu na żart dziennikarski tylko zastużył sobie przyjaciół Nałęczowa i dziennikarzy.

Ponieważ po „Kamery” sięga również i młodzież, opublikowanie tej notatki wydaje się celowe, aby nie zniechęcać jej do roweru. I do Bolesława Prusa także.

Kierownik Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie

mgr Halina Bukowska

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorek w godz. 13-14). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 233-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 253-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950, Lublin, skrytka pocztowa 231; polecenia i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1090, 25.09.88, Z-4.

Informacje ze świata

SUPER-TELEWIZJA

TOKIO. Telewizor o rozmiarach ściany w średniej wielkości pokoju ma obraz tak wyraźny, że sprawia wrażenie widoku z okna. Gdy na ekranie rozgrywa się mecz piłki nożnej, widać poszczególne źdźbła trawy, brwi, oczy i usta piłkarzy. Odgłosy ze stadionu dochodzą tak wyraźnie, jakby było się na trybunach.

Technicznie określa się to urządzenie telewizją o wysokiej rozdzielczości (HDTV) i jest to największe osiągnięcie od czasu, gdy rozpoczęto nadawać programy w kolorze.

Revolucja pod znakiem HDTV datuje się od początku lat 80. Japońscy konstruktorzy, po blisko 10 latach prób, opracowali wówczas nowy system, w którym obraz bardziej przypominał projekcję kinową niż tradycyjną telewizję. Skonstruowano kamery, magnetowidy i urządzenia emisyjne o jakości spełniającej najwyższe wymagania. Na wieść o tym Amerykanie oraz kraje EWG, obawiając się zalewu rynku przez azjatyckie odbiorniki, zapowiedzieli własny wariant HDTV, różniący się od japońskiego. Decyzja ta spowodowała opóźnienie umasowienia super-telewizji na Zachodzie o około 10 lat.

We własnym kraju Japończycy zamierzają wprowadzić nowy system latem br., aby można było oglądać transmisję Olimpiady w Seulu na ekranach wystawionych w dużych domach towarowych. W 1990 r. nowy satelita komunikacyjny rozpocznie regularne transmisje HDTV za pośrednictwem małych anten umieszczonych na dachach domów. Pierwsze odbiorniki będą kosztować około 4 tys. dolarów, a producenci oczekują, że tylko w Japonii do 2000 roku osiągną zyski w wysokości 100 bilionów dolarów.

OLIMPIADA Z OBSTAWĄ

Japonia, a także dziesięć innych państw — poinformowano w Tokio — czuwać będzie nad bezpieczeństwem uczestników letniej Olimpiady w Seulu. 15 VI w Tokio zakończyła się międzynarodowa konferencja poświęcona tej właśnie kwestii, w której wzięli udział ministrowie spraw wewnętrznych państw rejonu Azji i Pacyfiku. W charakterze obserwatorów przybyli delegacje Kanady, Hongkongu i USA. Agencja KYODO informuje, iż Amerykanie zwrócili się do ZSRR o wykorzystanie radzieckich „wpływów” w Phenianie w celu zapewnienia olimpijskiego bezpieczeństwa. Sprawa ta jest także przedmiotem wielu dwustronnych kontaktów Korei Płd. z krajami rejonu.

Północnokoreańska agencja KCNA 15 VI opublikowała obszerny komentarz zatytułowany: „Przewo podjęcia decyzji w sprawie współorganizacji Igrzysk Olimpijskich należy do narodu koreańskiego”. W artykule, który został przedrukowany na łamach RODONG SINMUN, wskazano, iż KRLD nadal uważa sprawę współorganizacji Olimpiady za otwartą, a decyzję w tej sprawie „powinien podjąć sam naród”. Agencja cytuje wypowiedzi „osobistości politycznych, młodzieży i studentów oraz innych warstw społeczeństwa ze wszystkich sfer w Korei Południowej”. W zakończeniu artykułu wskazano, iż w obecnej sytuacji KRLD nie weźmie udziału w Olimpiadzie organizowanej wbrew ideom narodu i „nie wymieni kwestii narodowego zjednoczenia na rozgrywki sportowe”.

WSPÓLNA MŁODOŚĆ Z REAGANEM

MOSKWA. Stało się zwyczajem, że obywatele radzieccy i amerykańscy piszą do przywódców obu

państw listy z osobistymi odczuciami i nadziejami. Taki właśnie list wystosował do Ronalda Reagana artysta plastyk ze Swierdłowska, Stanisław Gołąb, przypominając adresatowi o latach trzydziestych, kiedy razem pracowali w filmie. List zamieściła gazeta „Wieczerni Swierdłowski”.

Stanisław Gołąb, Polak z pochodzenia, urodził się w Wilnie, gdzie ukończył szkołę plastyczną. Następnie przeniósł się do Warszawy, zyskując opinię utalentowanego grafika i portrecisty. Z tego okresu pochodzi jego portret Mariana Wyrzykowskiego. Jednak trudności życiowe sprawiły, że młody artysta postanowił szukać szczęścia za oceanem. W tym czasie przyjechała do Warszawy delegacja „Metro Goldwyn Mayer” w poszukiwaniu uzdolnionych specjalistów, przede wszystkim rysowników do filmów animowanych. Ze stu osób, które stanęły do konkursu, wybrano cztery, a wśród nich znalazł się Stanisław Gołąb. Otrzymał pracę u Włta Disneya był współtwórcą „Królowy Śnieżki”. W Hollywood poznał wiele sław, zaprzyjaźnił się też z młodym aktorem Ronaldem Reaganem. Gdy kontrakt się skończył, Gołąb powrócił do Polski, a po wybuchu wojny znalazł się w ZSRR.

NOWA CHATKA PUCHATKA

NOWY JORK. Kubuś Puchatek znalazł sobie kolejną chatkę. Jest nią centralna sala literatury dziecięcej Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, której ozdoba stał się blisko półmetrowy brązowy niedźwiadek — ten sam, który zainspirował angielskiego pisarza Alana Alexandra Milne'a do napisania słynnego książki „Kubuś Puchatek”. Puchatek kupił pisarz w 1921 r. w słynnym domu towarowym Harrods w Londynie jako prezent dla urodziny swego syna Christophera Robina. Osiołek Kłapouchy przybył kilka miesięcy później — na gwiazdkę, a Prosiaczek stanął podarunek świądów. Kiedy Milne rozpoczął pisanie swojej opowieści, dokupił maskotki przedstawiające pozostałych mieszkańców lasu, a Sowę i Króliczka po prostu wymyślił.

Książkę Milne'a przetłumaczono na ponad 20 języków, a w Stanach Zjednoczonych co roku sprzedaje się ponad 100 tys. egzemplarzy opowieści o misiu „najlepszym na całym świecie”.

Poczta literacka

Red. Tadeusz Jasiński, który przez wiele lat prowadził w „Kamieniu” sprawy literackie, pożegnał się z Wami, drodzy autorzy, i przeszedł na emeryturę. Zostawił mi swoje biurko i... piękną teczkę maszynopisów. Na razie zdążyłem się zorientować, że najwięcej jest opowiadań. Ale znalazłem też sporo wierszy, trochę przekładów i kilka drobnych humoresek. Nie miałem jeszcze czasu, wybaczenie, aby wszystko to przeczytać solidnie, od deski do deski, a przecież jedynie uważna lektura należy się autorom, którzy przysyłają do nas swoje utwory. Taka była dobra tradycja naszego czasopiśmi i pozostaną jej wierni. Dzięki niej przecież debiutowało na łamach „Kamienia” niemal autorów, którzy odnosił później, po udanej u nas promocji, poważne sukcesy literackie. Obiecuję jeszcze jedno: będę honorował opinię mojego poprzednika i te teksty, które zakwalifikował on do dru-

ku, zostaną sukcesywnie opublikowane. Muszę jednak uprzedzić, że na druk trzeba będzie niekiedy poczekać dość długo, ponieważ objętość „Kamienia” jest szczyplą. Nie znaczy to jednak, że zniechęcam autorów do przysyłania swoich prób. Przeciwnie: na dobre opowiadanie, na interesującą poezję zawsze znajdzie się w „Kamieniu” miejsce. I nie ukrywam, że im lepszy jest utwór, tym krócej czeka na druk. A teraz moje uwagi o tekstach, które przyniosła poczta w ostatnich dniach.

DOROTA CH. Kraśnik. Trudno wyrokować o pani talencie literackim na podstawie jednej króciutkiej miniaturki. „Kawiarnia” nie kwalifikuje się jeszcze do druku, chociaż muszę przyznać, że posiada pani niezbedny pisarski dar obserwacji. Podoba mi się także puenta, która stwarza pewne nadzieje na przyszłość, jeśli zechce pani nadal próbować swoich sił w trudnej sztuce noweli. Zachęcam do pisania i proszę przysłać za jakiś czas kilka utworów. Zobaczymy.

JAN M. Białystok. Pańskie opowiadanie zaczyna się bardzo dobrze, czyta się je z zainteresowaniem dzięki klimatowi jakiegoś tajemniczego, który umiał pan wytworzyć. Ale odnosi się to tylko do pierwszych dwóch — trzech stron tekstu. Później rzecz robi

się monotonna, rażąco monotonna, jakby pan się zgubił i nie wiedział, w jakim kierunku poprowadzić dalszą akcję. Utwór załamuje się wyraźnie na ostatnich dwóch stronach, gdzie za dużo dosłowności i taniej dydaktyki. Niech pan także wystrzeże się zdan w rodzaju: „Szaleństwo toczy mój” czy „Usta lgną do ust”. Ta poetyka została już dawno temu kompletnie wyeksploatowana, toteż każdy, kto chce dzisiaj stosować tego rodzaju chwyt, musi być świadom ich sztuczności. Pan robi to jednak jak najbardziej serio, dlatego opowiadanie, choć ma całkiem dobre fragmenty, nie zasługuje jeszcze na druk. Wydał mi się, że podąża pan w dobrym kierunku, zachęcam pana do pisania, ale i większej dyscypliny językowej. Proszę jednak nadesłać coś za parę miesięcy. Może będzie lepsze?

LESZEK M. J. Cóż można odpowiedzieć na pana propozycję, skoro nie przesyła pan żadnych prób literackich, przedstawia się zaś jako autor, którego poczę „można podzielić na dwa zasadnicze nurty”: a ponadto „nieobce są” panu „takie formy literackie, jak wszelkie rodzaje opowiadania”. Skoro jednak jest pan tak wszechstronnym pisarzem, proszę o przesłanie paru wierszy na temat „zagubienia człowieka w świecie”. A mówiąc poważnie: proszę nadesłać cokolwiek, wtedy porozmawiamy o konkretnych.

WALDEMAR S. Lublin. Swoimi utworami powinien pan zainteresować jakiś zespół muzyczno-wokalny. W „Kamieniu” nie drukujemy tekstów piosenek.

JERZY D. Góra Puławska. Ma pan wyobraźnię, sporą kulturę słowa, bardzo dużą wrażliwość. Jest pan otwarty na świat i lubi pan ludzi. I — jak się domyślam — jest pan bardzo młody i zakochany. Ale to jeszcze za mało, aby z tak pięknego stanu ducha narodziła się dobra poezja. Na razie pisze pan bowiem wszystko to, co przychodzi panu do głowy, nie dba pan ani o należytą selekcję wrażeń ani o selekcję słów. Tymczasem tworzenie poezji to nie tylko natężenie, improwizacja i spisywanie na gorąco wszystkich uczuć. To także — praca. Niech pan popatrzy jak robili to przed panem Kochanowski, Tuwim, Brzechwa, warto też zajrzeć do Różewicza i Herberta. Najpierw może pan będzie pisał jak inni, naśladował, ale wydaje mi się to dobrą metodą na okiełznanie myśli języka. A jeżeli za jakiś czas odnajdzie pan własny styl, będzie to pańskie zwycięstwo. Proszę odezwać się za rok.

WITOLD O., ANNA W. Sosnowiec. Proszę o cierpliwość. Utwory zakwalifikowane do druku.

Andrzej W. Pawluczuk

Ogłoszenie

Małżeństwo (KUL) poszukuje mieszkania. Tel. 55-86-07.

11116/G

Krzyżówka nr 14 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 16 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

1. uprawa winnej latorośli — 40, 24, 146, 114, 179, 103, 7.
2. dawny rocznik, kronika — 2, 45, 88, 106, 14.
3. organy fotosyntezy roślin — 77, 31, 170, 36, 59, 157.
4. geograficzna niezwykłość — 42, 143, 152, 39, 33, 74, 153, 20.
5. uzdrowisko nad rz. Bystrą — 12, 122, 38, 110, 151, 22, 147, 49.
6. sprawność fizyczna — 6, 180, 51, 18, 37, 81, 61.
7. motyw działania, zamysł — 4, 89, 66, 130, 160, 111, 56, 15.
8. balagan — 19, 41, 98, 25, 52, 10.
9. powoduje powstanie frakcji — 21, 168, 123, 107, 159, 17.
10. naoczne stwierdzenie — 11, 64, 117, 27, 167, 178, 61, 80.
11. zastąpił płachtę na szyi — 8, 172, 47, 131, 93, 82, 32, 12, podobno leży w środku Polski — 1, 46, 177, 100, 138, 43.
13. część całości — 48, 153, 175, 3, 112, 102.
14. stanowi barwę spółdzielczości — 26, 5, 60, 148, 164.
15. wysuwa propozycję — 13, 132, 55, 91, 95, 76, 119, 154, 121.
16. ostatnia wieść — 30, 125, 155, 90, 94, 44.
17. największy kot — 105, 142, 148.
18. państwo na wyspach — 137, 150, 85, 140, 71, 86, 57.
19. literatura wierszowana — 23, 93, 134, 9, 87, 101.
20. zdobywcę — 17, 127, 135.
21. brudzi poniki — 69, 29, 83, 166, 128.
22. zezwolenie na wjazd do obcego kraju — 108, 62, 149, 72.
23. czarnoksiężstwo — 163, 89, 28, 161, 118.
24. kółczaste zwierzątko — 176, 96, 65.
25. miejsce na słuchawkę — 75, 109, 97, 162, 126, 63, 115.
26. wyczynowa jazda konna — 104, 129, 54, 156, 116, 92.
27. ma dużo pestek — nasion — 113, 25, 124, 144, 169, 50.
28. historia patetyczna — 79, 34, 78, 173, 141, 120.
29. na ekranie telewizora — 174, 133, 73, 165, 84.
30. nowa dobrze miecie — 16, 136, 70, 139, 53, 67.

ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12

SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Po dziesięciu latach obłączenia piękna Felena była sta-

ra łupą, o którą mogłoby się bić po pijanemu dwóch najtków, a nie tyłu dostojnych królów i bohaterów. Bili się, bo ich to bawiło i to mógł być od biedy właściwy sens tej wojny.

Nagrodę wylosowała Eugenia Łobacz, ul. Sławińskiego 14/3, 21-040 Swidnik.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9		10	11	12	13	14	15
		16	17	18	19	20	21	22		23	24	25		26	27	28
29		30	31	32	33		34	35		36	37	38	39	40	41	42
43	44		45	46	47		48	49	50	51	52	53		54	55	56
57	58	59	60	61		62		63	64	65		66	67	68		69
70		71	72	73	74	75	76	77	78		79	80	81	82	83	84
	85	86	87	88	89	90	91	92		93	94		95	96	97	98
99		100	101	102		103	104	105	106	107		108	109	110	111	112
113		114	115	116	117		118		119	120	121	122	123		124	125
126	127	128	129	130	131		132	133	134		135	136	137	138		139
140		141	142	143	144		145	146	147	148		149	150		151	152
153	154	155	156	157	158	159		160	161	162		163	164	165	166	
167	168	169	170	171	172	173	174	175	176	177		178	179	180		